tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 9 (1160) ROK XXIII 2 MARCA 1980 R. CENA 3 ZŁ

W NUMERZE: W starym lamusie ■ Witaj — żegnaj Japonio ■ Supergang ■ Z prawem na co dzień ■ Odwołanie ■ Felietony ■ Recenzje ■ Magazynek 1-3

TOMASZ SOLDENHOFF

PRZECIW „KRYZYSOWI SZTUKI"

Czy jesteśmy dzisiaj świadkami kryzysu sztuki?

Wielu artystów i krytyków odpowiada na to pytanie twierdząco. Poczucie upadku, zamierania, bezradności wiążą oni jednak nie tyle z wewnętrznymi przemianami sztuki, co ze współczesnością w ogóle, z kryzysem cywilizacji, tradycyjnych wartości człowieka.

Ostatnio kryzysem w sztuce zajęli się uczeni. We wrześniu 1979 roku w Krakowie odbyła się nawet specjalna, międzynarodowa konferencja na ten temat. Naukowcy — podobnie jak twórcy — zmuszeni są zaczynać od pytań podstawowych. W ich przekonaniu bowiem kryzys objął już wszystkie główne pojęcia estetyki, a nawet samą naukę, która je bada.

Diagnozy naukowców znajdują liczne potwierdzenia w codziennym życiu sztuki. Statystyki muzeów, galerii mówią że sztuka współczesna egzystuje właściwie poza szerszą świadomością społeczeństwa. Artysta przestał być już „organizatorem zbiorowej wyobraźni", „przewodnikiem dusz". Jego funkcję jakże często zredukowano do roli producenta.

Ciąg dalszy na str. 3

Foto: W. Liszkowski

RYSZARD BINKOWSKI

ZA ROGATKAMI

Szybko rozwijał się nasz kraj. Budowano nowe miasta, fabryki, rozwijał się przemysł i Polska rosła w siłę, stając się widoczną na mapie świata. Nie ulega wątpliwości, że w toku tego procesu przeobrażeniom ulegała także wieś polska, zyskując bardzo wiele, m. in. dworską ziemię na własność, szeroki dostęp do oświaty, setki tysięcy stanowisk pracy w przemyśle. Ale długo nie mogła korzystać w pełni z tych zdobyczy socjalizmu, jakie przypadały w udziale mieszkańcom miast. Pierwszym ważnym krokiem do zniwelowania dysproporcji socjalnych była ustawa o powszechnym ubezpieczeniu i bezpłatnej opiece lekarskiej dla rolników, następnym zaś, i chyba najistotniejszym — ustawa z 27. 10. 1977 r. o emeryturach i rentach dla rolników.

Są to największe osiągnięcia minionego dziesięciolecia, jeśli chodzi o sprawy ludzi. W tym samym czasie nowe kierownictwo partii i rządu, dostrzegając znaczenie rozwoju wsi i rolnictwa dla sprawy wyżywienia narodu, zniosło obowiązkowe dostawy i kilkakrotnie podwyższało ceny skupu produktów rolnych. Bodźce ekonomiczne wzmogły zainteresowanie ziemią, wsią i produkcją rolną. Nakłady łożone na rolnictwo i pomoc finansowa państwa sprzyjały powstawaniu nowoczesnych chłopskich gospodarstw specjalistycznych. Szybko likwidowano obajwy zacofania, którym była samowystarczalność chłopska, m. in. wypiekanie w domu chleba. Zamknięto małe lokalne piekarnie prywatne i chłopi zaczęli kupować chleb w sklepach.

Wszyscy naraz zaczęli z uwagą przyglądać się wsi, nawet ci, którym kojarzyła się ona tylko z przyjemnością wczasów pod gruszą. To był nowy, frapujący temat dla środków masowego przekazu, szczególnie dla telewizji, która starała się być najlepsza w propagowaniu nowoczesności wiejskiej. Tego rodzaju spojrzenie spowodowało, że społeczeństwo poznawało obraz wsi nieco spaczony, jak gdyby w krzywym zwierciadle. Zazwyczaj kamera obejmowała z daleka nowe budynki inwentarskie, koniecznie z ciągnikiem w tle, potem następowało zbliżenie willi, a przed nią dwa samochody, w tym jeden należący do ekipy telewizyjnej. Wreszcie oko kamery wędrowało do wnętrza ukazując nowoczesną kuchnię, łazienkę całą w importowanych płytkach, różowe sedesy, drogie meble, puszyste dywany. W gabinecie siedział w głębokim fotelu pod palmą człowiek w białej koszuli, z książką na kolanach, zapatrzony w ekran kolorowego telewizora. To był typowy rolnik polski, któremu na polu wszystko samo rosło.

Wystarczyło teraz, że ktoś oznajmił publicznie, iż w robotniczej dzielnicy miasta X ludzie śledzą dworzec kolejowy, na którym pojawiają się przybysze z prowincji, którzy gremialnie okupują sklepy, i że w tych sklepach można było coś dostać wtedy gdy do miasta nie można było dojechać, a natychmiast zrodziły się pytania, wątpliwości, różne dywagacje, pretensje, postulaty i pouczenia. Że rosną nakłady na rolnictwo, a wieś wciąż mało produkuje, gdyż jest niedouczona, boi się kolektywizacji i korzysta tylko z koniunktury, żeby załapać najwięcej dla siebie. Wieś zjada żywność, zajmuje miejsca w fabrykach i na uczelniach, a ziemia rodzi mało. Ktoś inny uważa, że jeśli chłopi źle produkują żywność, to należy ich skolektywizować i niech siedzą na wsi, bo za bardzo się bo-

Ciąg dalszy na str. 4

MUZYKA DLA KAŻDEGO

rozmowa z BORYSEM FRYDRYCHOWICZEM dyrektorem Kongresu Upowszechniania Kultury Muzycznej

— Powróćmy — mając już za sobą pewną perspektywę czasu, do wydarzenia, jakim był Kongres Upowszechniania Kultury Muzycznej, który odbywał się w Warszawie, w grudniu ub. roku.

Jaki był cel tej imprezy, bo przecież nie o podsumowanie tu wyłącznie chodziło?

— Idea spotkania środowiska muzycznego żyła od kilku lat. Podnoszona była m. in. przez „Życie Warszawy" w postaci hasła sejmiku muzyków, wreszcie SPAM wystąpiło w roku 1977 z wyraźną już propozycją zwołania kongresu. U podstaw tej inicjatywy legło z jednej strony stwierdzenie, że muzyka polska znajduje się dziś w okresie rozkwitu: mamy przecież znakomite tradycje muzyczne, wspaniałą twórczość, świetne wykonawstwo, doskonale zorganizowane szkolnictwo muzyczne; z drugiej zaś — niepokój, a może nawet przeświadczenie, że te dokonania polskiej muzyki nie są szerokiemu ogółowi społeczeństwa do-

Ciąg dalszy na str. 7

BARBARA I JERZY KROH

WITAJ ŻEGNAJ JAPONIO

1.

I oto nadchodzi czas pożegnania z Sapporo. Przeżyliśmy w tym mieście sześć szczęśliwych miesięcy — wykładając i pracując na tutejszym uniwersytecie, próbując zrozumieć japońskie zwyczaje. Dopiero za kilka dni, gdy znajdziemy się w centralnej Japonii, w pełni docenimy uroki życia na Hokkaido.

Japończycy skolonizowali tę wyspę przed okrągło 100 laty, wypierając lub asymilując tubylcze plemiona Ajnów. Po tych 100 latach Hokkaido stało się chyba najlepszą wizytówką japońskiej pracowitości i zmysłu organizacyjnego.

Stolica wyspy — Sapporo — budzi podziw i sympatię każdego turysty. Ma najbardziej nowoczesne w Japo-

Ciąg dalszy na str. 8

LAUREACI NAGRÓD M. ŁODZI

Prof. dr hab. Antoni Kotełko, po ukończeniu Wydziału Chemicznego Politechniki Łódzkiej w 1947 r., rozpoczął pracę naukową na Wydziale Farmacji Akademii Medycznej w Łodzi. W uczelni tej przeszedł przez wszystkie szczeble naukowej drogi, a tegoroczną Nagrodę m. Łodzi otrzymał za całość dorobku naukowego w dziedzinie technologii środków leczniczych.

Pełniąc funkcję dyrektora Instytutu Technologii i Chemii Leków na Wydziale Farmacji AM, profesor A. Kotełko kieruje bezpośrednio Zakładem Technologii Chemicznej Środków Leczniczych, który specjalizuje się w badaniach nad syntezaim środków chemicznych, służących do otrzymywania leków psychotropowych i przeciwpasożytniczych.

Długoletni prorektor, a od trzech lat rektor Akademii Medycznej profesor Antoni Kotełko położył duże zasługi dla rozwoju uczelni a jako przewodniczący kolegium rektorów w Łodzi dla rozwoju życia naukowego w mieście.

O HUMANIZMIE I TECHNICE W MEDYCYNIE

Rozmowa z prof. dr. hab. ANTONIM KOTEŁKĄ

„Myślę, że technizacja nie powinna przeszkadzać humanistycznym aspektom medycyny".
Foto: R. Łucyszyn

„Odgłosy": Powołanie jest dziś słowem niemodnym, nawet brzmi bardzo staroświecko. Nie mniej coś z treści tego słowa nadal funkcjonuje w naszej świadomości. Lepiej jednak nie mówić o powołaniu do zawodu lekarza, a o pewnych predyspozycjach psychicznych, wrażliwości, etyce. Czy można się przekonać w jakim stopniu kandydat na studia reprezentuje te właśnie cechy?

A. Kotełko: Jest to bardzo trudne zagadnienie. Obawiam się, że nie dysponujemy żadnymi metodami, które pozwoliłyby sprawdzić, czy kandydat posiada predyspozycje psychiczne i czy reprezentuje odpowiedni poziom etyczny, niezbędny do wykonywania zawodu lekarza, jak również innych profesji. Swego czasu wprowadziliśmy podczas egzaminów wstępnych rozmowy z kandydatami, które także niewiele dały. Podczas egzaminów możemy właściwie tylko sprawdzić, jaki poziom wiedzy, z określonych dziedzin reprezentuje kandydat. Są propozycje, aby I semestr lub nawet cały I rok studiów traktować jako rok selekcyjny. Bliższy kontakt wykładowców ze studentami pozwoliłby „wyłowić" tych, którzy odznaczaliby się predyspozycjami o których mówimy. Wymagałoby to jednak przyjęcia zwiększonej liczby kandydatów na studia, na co nie możemy sobie obecnie pozwolić.

— A gdyby obok egzaminu z chemii czy biologii kandydaci pisali esej np. na temat: „Mój stosunek do cierpienia", „Prawda i milczenie wobec człowieka beznadziejnie chorego", „Lęk przed śmiercią"?

Z tego też nic nie wyniknie. Eseje będą deklaratywne, a poza tym takie tematy wymagają doświadczenia życiowego, dojrzałości i własnych przemyśleń, których od maturzystów trudno wymagać.

Zastanawiające są wyniki badań ankietowych przeprowadzonych wśród studentów VI roku AM w Łodzi. Otóż w opinii przyszłych medyków powodzenie w zawodzie lekarza zależy przede wszystkim od systematycznego podnoszenia kwalifikacji, sumienności, umiejętności współżycia z innymi ludźmi, umiejętności przewodzenia innym i lojalności wobec zwierzchników. Utrudniają natomiast wykonywanie zawodu takie cechy jak: pomysłowość i nowatorstwo, skromność, umiejętność przyznawania się do własnych błędów...

— To nie są tylko polskie problemy. Jak wobec tego radzi sobie z nimi szkolnictwo medyczne w świecie?

— Najczęściej stosuje się metody o których już wspomniałem. Przyjmuje się więcej kandydatów i później selekcjonuje.

— Zakładamy zatem, że przyszły medyk ma okazję rozwinąć swoje predyspozycje psychiczne podczas studiów i zdobyć podstawowe ABC lekarskiego kodeksu.

— Przygotowanie pod tym względem jest tak samo ważne jak przygotowanie fachowe lekarza. Można to czynić bardziej formalnie, wyodrębniając pewne grupy przedmiotów jak np. etyka, filozofia marksistowska, socjologia, nauki polityczne. Można też wpajać etyczne aspekty zawodu podczas nauczania wszystkich przedmiotów. Myślę, że ta druga metoda jest lepsza, gdyż w ten sposób lekarz traktuje te wszystkie aspekty jako spójną całość swego zawodu. Gdyby wzorów postępowania można było uczyć na wykładach, życie byłoby niesłychanie ułatwione.

— Studenci medycyny, podobnie jak innych kierunków studiów mają okazję przekonania się, iż między tym co słyszą z katedry, a tym co widzą w życiu istnieje pewna rozbieżność. Nie mówiąc już o tym, iż praktyki w szpitalach dostarczają im wiele negatywnych wzorów postępowania. Są świadkami protekcji, przyjmowania przez lekarzy tzw. „dowodów wdzięczności" czyli po prostu prezentów i innych.

— Przywiązuję ogromne znaczenie do przykładu osobistego wychowawcy. Młody człowiek powinien być pod urokiem osobowości swego nauczyciela, jego postawy życiowej i postępowania. Dlatego też tak uważnie obserwujemy pod tym kątem młodych asystentów. Oczywiście, że studenci medycyny stykają się z negatywnymi przykładami w czym tkwi wielkie niebezpieczeństwo. Błędem byłoby jednak ograniczać te niekorzystne wzory tylko do służby zdrowia.

— Oczywiście, tylko że w służbie zdrowia przykłady takie mają szczególnie drastyczną wymowę.

— Zgoda, bo obraz funkcjonowania służby zdrowia, szkolnictwa, administracji, handlu kształtuje w społeczeństwie obraz funkcjonowania państwa.

— Proponuję przejść do innego tematu. Czy słuszne są zdaniem pana rektora coraz częściej powtarzające się opinie, iż medycyna przestała być nauką humanistyczną w dobie coraz większej technizacji?

— Myślę, że technizacja nie powinna przeszkadzać humanistycznym aspektom medycyny. Technika powinna być dla lekarza bronią na miarę współczesnych potrzeb. Na podstawie analiz skomputeryzowanych wyników nie sposób ocenić stanu zdrowia pacjenta. Jest to zagadnienie podobnego typu jak to, czy do chorego podchodzić indywidualnie czy też traktować go jako członka określonej populacji. Oczywiście, że do pewnej populacji musimy podchodzić wspólnie, gdyż jej członkowie żyją w podobnych warunkach, są zagrożeni podobnymi chorobami itp. Z drugiej strony każdy żywy człowiek ogromnie różni się jeden od drugiego i należy traktować go indywidualnie, tym bardziej należy tak podchodzić do człowieka, chorego.

— Doszliśmy w ten sposób do drugiego zasadniczego zarzutu, kierowanego pod adresem systemu kształcenia lekarzy: zbyt wąskich specjalności.

— Oczywiste, iż lekarz musi traktować pacjenta jako całość; spójnie funkcjonujący organizm. Nie może być specjalisty tylko od prawej ręki lub lewej nogi. Dotykamy tu bardzo zasadniczego problemu — przygotowania lekarza do jego pracy. Zasadniczą opiekę nad pacjentem powinien sprawować lekarz rejonowy. Tymczasem młodzi lekarze uciekają od rejonu. Wszyscy chcą pracować w szpitalu, a najlepiej w klinice. Dla rozwoju lekarza, jako specjalisty, praca w szpitalu jest bardzo korzystna. Cierpi jednak na tym rejon. Staramy się temu przeciwdziałać poprzez takie ukierunkowanie programów studiów aby jak najlepiej przygotować lekarza do pracy na rejonie, aby potrafił wziąć na siebie odpowiedzialność za leczenie pacjenta. Zdajemy sobie sprawę, że nie wrócimy już do przeszłości i do lekarzy domowych. Lekarz rejonowy mógłby być jednak godnym następcą swego poprzednika.

— Panie rektorze, w systemie kształcenia lekarzy niepokoi pomijanie zagadnień związanych ze śmiercią. Współczesna medycyna pozwala wymienić pacjentowi nerki i płuca, nie łagodzi jednak jego cierpień i lęku przed śmiercią, nie przygotowuje go do tej najtrudniejszej próby. Przygotowanie pacjenta do śmierci, postępowanie z człowiekiem beznadziejnie chorym, pozostawia jeszcze wiele do życzenia.

— Są to bardzo trudne zagadnienia, tym bardziej, że współczesna medycyna postawiła przed lekarzami wiele nowych pytań i problemów. Często muszą rozstrzygać, kiedy odłączyć chorego od aparatury, odpowiadać na pytanie: czy te nowoczesne urządzenia pomagają czy też przeszkadzają choremu spokojnie umrzeć? Bardzo często przeszkadzają. Znamy z przeszłości obrazy starców umierających w otoczeniu rodziny. I choć był to obraz przeidealizowany, świadczył jednak o tym, iż stary człowiek miał prawo do godnej śmierci. Dziś z reguły nie ma warunków do takiej śmierci, ani w szpitalu, ani w domu. W tej dziedzinie lekarze mają jeszcze bardzo dużo do zrobienia i wbrew pozorom ta właśnie, typowo humanistyczna część zawodu lekarskiego może być działalnością piękną i przynoszącą głęboką satysfakcję — pomóc człowiekowi w najcięższej dla niego chwili.

— Na zakończenie naszej rozmowy chciałbym zapytać jeszcze o profilaktykę, której brak również w programie studiów lekarskich, a która nierozerwalnie łączy się dziś z ochroną środowiska, zgubnymi skutkami cywilizacji, a w dalszym kontekście ze zdrowiem człowieka.

— Należy tu odróżnić dwie grupy zagadnień. Profilaktykę w węższym znaczeniu, jako bezpośrednią ochronę chorego przed chorobami np. poprzez szczepienia profilaktyczne i w szerszym — polegającą m. in. na obserwowaniu środowiska i jego wpływu na inne dziedziny. Ograniczenia np. zanieczyszczeń wody, powietrza, natężenia hałasu itp. Lekarze i farmaceuci mogą tu odegrać ogromną rolę w przygotowywaniu różnego stopnia ekspertyz. Niestety, te umiejętności są zbyt słabo wykorzystywane, innymi słowy brak jest zamówień i zleceń.

— Pozostają zatem żmudne, powolne działania w celu zmiany tej sytuacji.

Dziękujemy panu za rozmowę i jeszcze raz gratulujemy nagrody.

Rozmawiała: MAŁGORZATA GOLICKA

AKTUALNOŚCI

W tygodniku „Smiena" ukazały się ostatnio fragmenty, przygotowanych do druku wspomnień znakomitego artysty Arkadija Rajkina, uważanego słusznie za twórcę i niedoścignionego mistrza radzieckiej miniatury satyrycznej. Rajkin który od wielu już lat prowadzi słynny Leningradzki Teatr Miniatur, z właściwym sobie poczuciem humoru opowiada o swej pracy i dziwnej przygodzie w ojczyźnie pana Pickwicka...

WSPOMNIENIA ARKADIJA RAJKINA

— Od niepamiętnych czasów zajmuje się satyrą, a to oznacza, że jestem obowiązany patrzeć na życie trzeźwym okiem, bez rozczulania. Jednak nie wynika z tego wcale, że człowiek mego zawodu musi spoglądać na świat przez czarne okulary. Wprost przeciwnie. Moim zdaniem, satyra dopiero wówczas jest prawdziwa i pożyteczna, kiedy niesie ze sobą wszystko co pozytywne, i dobre. Pytają mnie czasem: „Jakim prawem żartuje pan na ten czy inny temat?". Odpowiadam zazwyczaj: „Prawem człowieka, radzieckiego artysty i obywatela". Inaczej mówiąc, sam sobie udzieliłem pozwolenia, ponieważ wiele spraw mnie nurtuje. Chamstwo i ignorancja, chciwość i skąpstwo, zarozumiałość i tchórzostwo, pijaństwo i nierób-stwo, podłość i nikczemność... Dlatego uważam, że śmiech może okazać się w walce z tymi zjawiskami środkiem nie mniej skutecznym, niż kodeks karny.

Oczywiście, byłoby naiwnością sądzić, że najbardziej nawet udany skecz czy monolog może odmienić świat i ludzi. Ale — z drugiej strony — nie miałoby sensu zajmować się satyrą, nie będąc przekonanym o jej skuteczności...

Ale, jak to w życiu bywa, to moje przekonanie wystawiane było na ciężkie próby. Wiele podróżowałem po świecie, a wiadomo, co kraj to obyczaj... Kiedyś zaproponowano mi cykl występów w brytyjskiej telewizji. Miała to być duża składanka z programów, które w różnych latach pokazywałem u siebie w kraju. Nagle moi angielscy koledzy grzecznie lecz i stanowczo poprosili, abym usunął niektóre monologii i intermedia. Co się stało? „Mister Rajkin — odpowiedziano mi uprzejmie — przejrzeliśmy pański podstępny pomysł. Pokazuje pan na przykład biurokratę, a przecież powszechnie wiadomo, że prawdziwy biurokrata zrodził się właśnie w Anglii. Albo — wyśmiewa pan łapownictwo, ale wielu z naszych rodaków jest zdania, że to całkiem dopuszczalny interes. Po cóż więc mamy wyśmiewać nasze własne obyczaje?". W pierwszej chwili opanowało mnie oburzenie, ale później nie mogłem moim szanownym kolegom nie przyznać swoistej logiki. Jeśli się bierze w obronę biurokratów i łapowników, nie można również pokazywać ośmieszających ich scenek. Rzeczywiście, co kraj to obyczaj...

NAGRODY I ODZNACZENIA

35-lecie „DP"

W ubiegłą sobotę odbyła się uroczystość jubileuszowa związana z 35-leciem „Dziennika Popularnego". Pracowników „DP" uhonorowano wysokimi odznaczeniami. **Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski** otrzymała red. **Wacława Kasprzak-Brzozowska; Złote Krzyże Zasługi — Jerzy Ignatowicz** i red. **Konrad Turowski; Srebrne Krzyże Zasługi — Krystyna Brockhusen** i red. red. **Jerzy Bąbol, Jan Brzóska, Eleonora Skokowska, Andrzej Wach, Wiesław Wróbel; Brązowy Krzyż Zasługi** — red. **Renata Grzelak-Sas.**

Honorowe Odznaki M. Łodzi otrzymali red. red. **Mieczysław Stolarski, Zdzisław Szczepaniak, Leszek Rudnicki, Andrzej Wach i Wiesław Wróbel; Odznaki „Za Zasługi dla RSW Prasa-Książka-Ruch"** — **Jerzy Ignatowicz** oraz red. red. **Witold Kakowski i Henryk Walenda.**

„Dziennik" jako całość uhonorowany został **medalem wydanym z okazji 35-rocznicy wyzwolenia Łodzi** oraz **„Złotą Honorową Odznaką TPPR".**

L. Włodkowski — nagroda za publikację o Bułgarii

W związku ze zbliżającą się tysiąc trzechsetną rocznicą powstania państwa bułgarskiego, która obchodzona będzie w 1981 roku, Bułgarski Ośrodek Kultury i Informacji w Warszawie oraz Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich ogłosiły konkurs na publikacje o Bułgarii dla dziennikarzy prasy, radia i telewizji. Konkurs na publikacje za rok 1979 został już rozstrzygnięty. Trzecią nagrodę otrzymał członek naszego zespołu redakcyjnego — LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Miesięcznik „Literatura Radziecka" ma zwyczaj przyznawania dorocznych nagród za najlepsze przekłady zamieszczane na swoich łamach. Miło nam dowieść, że za rok 1979 nagrodę tę otrzymał znany łódzki poeta i tłumacz, IGOR SIKIRYCKI, za cykl przekładów wierszy Mikoły Bażana.

I. Sikirycki — laureatem „Literatury Radzieckiej"

Staraniem Komisji Kultury Zarządu Łódzkiego SZSP i Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu Uniwersytetu Łódzkiego rozpoczęła działalność Studencka Wszechnica Kultury. Inicjatywa ta jest próbą wyjścia naprzeciw powtarzającym się od dłuższego czasu postulatom środowiska akademickiego dotyczącym rozszerzenia programu studiów wyższych o wiedzę na temat współczesnej kultury, sztuki i estetyki. Pierwszą taką próbą na terenie Łodzi były przed kilku laty „Spotkania z kulturą XX wieku"; obecna, nowa forma — Studencka Wszechnica Kultury — nawiązuje również do opracowanego przez resort szkolnictwa wyższego „programu humanizacji studiów"

STUDENCKA WSZECHNICA KULTURALNA

Wykładowcami łódzkiej Wszechnicy będą znani naukowcy, twórcy i działacze kultury. Wykład inauguracyjny, poświęcony „Postawie technologicznej i postawie anarchistycznej w sztuce współczesnej" wygłosił prof. dr. Stefan Morawski. Kolejne wykłady z tego cyklu przygotował dr Andrzej Turowski („Alienacja i utopia jako granice awangardy") i dyrektor Muzeum Sztuki — Ryszard Stanisławski („Strategie sztuki nowoczesnej"). W najbliższym czasie — w cyklu poświęconym sztuce i estetyce współczesnej — odbędą się następujące wykłady:

— 29 lutego br. — wykład Grzegorza Sztabińskiego pt. „Czas zatrzymany, czas odzyskany", 7 marca br. — wykład Jozefa Robakowskiego pt. „Stan sztuki w epoce postkonceptualnej", 14 marca br. — wykład Jerzego Olka pt. „Fotografia — medium sztuki". Organizatorem tych spotkań jest Komisja Kultury ZŁ SZSP.

Natomiast w cyklu filmowym — przygotowanym przez Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ wespół z ZŁ SZSP — odbył się już wykład dr Ewy Nurczyńskiej pt. „Neorealizm — krytyczna perspektywa współczesna". Kolejne wykłady wygłoszą:

— 3 marca br. — Tadeusz Szczepański (pt. „Angielska nowa fala") oraz — 10 marca br. — Ryszard Kluszczyński (pt. „Francuska nowa fala").

Cotygodniowe otwarte wykłady SWK odbywają się w auli Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, ul. Wojska Polskiego 121 o godz. 18.

(T.S.)

„RABOCZIJ KRAJ" O ŁODZI

Wychodzący w Iwanowie dziennik „Roboczij Kraj" poświęcił całą kolumnę obchodzonej niedawno 35 rocznicy wyzwolenia Łodzi. Oba miasta — Iwanowo i Łódź — wiążą serdeczne i braterskie więzy przyjaźni. W styczniu br. członkowie Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej w Iwanowie zaciągnęli uroczyste „warty produkcyjne" w kombinacie włókienniczym im. Frołowa, w mieście zorganizowano dekadę książki polskiej, a w kinie „Łódź" odbył się tydzień filmu polskiego. Przeprowadzono, co prawda na odległość, zawody wśród młodzieży szkół podstawowych Iwanowa i Łodzi pod nazwą „Drogami rewolucji", a także urządzono wystawę rysunków dzieci z Iwanowa poświęconych Polsce i Łodzi.

„Raboczij kraj" z dn. 20 stycznia br. zamieścił obszerne opowiadanie Andrzeja Makowieckiego pt. „Zaledwie jedna noc" oraz wiersze **Antoniego Kasprowicza, Igora Sikiryckiego i Tadeusza Chróścielewskiego,** a także szkic o Łodzi pióra **Ewy Ostrowskiej.** Przekładów dokonali: Walerij Antipow, Siergiej Maszkow i Switosław Swiacki, a zilustrowali całość B. Wiktorienkow i B. Kotik.

(e)

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, MARIA KĘPIŃSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

PRZECIW „KRYZYSOWI SZTUKI"

Dalszy ciąg ze str. 1

I.

Czy jednak wszystko to (a wskazaliśmy na niektóre tylko objawy kryzysu) oznacza, że sami artyści godzą się z tym stanem rzeczy?

Na szczęście znaczny zastęp — młodych zwłaszcza — twórców poszukuje dróg wyjścia z impasu, przeciwstawia się izolacji sztuki. Swoim rozumieniem zadań sztuki artyści ci zbliżają się do Pabla Picassa, który w wywiadzie z 1945 roku powiedział m. in.:

„Artysta jest istotą polityczną, bez przerwy czujną na wydarzenia tego świata — rozdzierające, namiętne lub spokojne. Czyż można pozostawać obojętnym wobec życia innych? I na mocy jakiegoż to wygodnictwa miałoby się prawo zamykać w wieży z kości słoniowej? Nie, malarstwo nie jest po to, by zdobić mieszkania. Jest narzędziem wojny, natarcia i obrony przed wrogiem..."

W Polsce, po wojnie, pytania autora „Guerniki" pojawiły się z największą siłą w twórczości Andrzeja Wróblewskiego. W 1948 roku był on jednym z inicjatorów i członków „Grupy samokształceniowej" w krakowskiej ASP, która ostro przeciwstawiła się mitom o aspołeczności sztuki. Członkowie grupy postulowali sztukę zaangażowaną w tematykę antywojenną, w sprawy społeczne, podkreślali socjalny i wychowawczy charakter sztuki.

Do tych przekonań nawiązują dzisiaj twórcy, którzy nie godzą się na „śmierć sztuki" i jej trwanie w społecznej próżni.

W kształtowaniu tych tendencji przodującą pozycję zdobyło sobie ostatnio środowisko młodych artystów Wrocławia. W mieście tym — jak wspominają kronikarze — już w drugiej połowie lat 40-tych istniała atmosfera sprzyjająca twórczej samodzielności, działaniom często dziwacznym i skandalizującym. W ogniu dyskusji rodziły się tu, rozwijały i walczyły ze sobą sprzeczne nurty i tendencje ideowo-artystyczne, krystalizowały się odrębne ugrupowania twórcze i indywidualności.

Także i dzisiaj wrocławskie środowisko artystyczne znane jest ze swej aktywności. Ktoś obliczył, że w końcu 1979 roku działało w tym mieście aż 28 galerii plastycznych, w tym szereg galerii autorskich, realizujących własne programy artystyczne.

W żadnym też innymi mieście poza Wrocławiem nie ma sześciu galerii prowadzonych przez młodych i dla młodych, nie mówiąc o innych jeszcze galeriach, które chętnie udostępniają swe wnętrza artystycznej młodzieży (np. Foto — Medium — Art.). Wrocławskie galerie są nie tylko miejscami, gdzie urządza się wystawy; są też ośrodkami spotkań, dyskusji, ścierania się poglądów i postaw.

Spośród 170 obecnie członków Koła Młodych przy kręgu ZPAP aż 80 proc. (licząc od 1974 r.) uczestniczyło w wystawach zbiorowych, a 40 proc. miało już własne wystawy indywidualne. Wszystkie te fakty sprzyjają twórczemu fermentowi, współistnieniu różnych postaw i prądów, krzyżowaniu idei, które z jednej strony różnicuje artystów, z drugiej zaś — wiedzie ku ich integracji.

II.

Na takim — bardzo sprzyjającym młodej sztuce — gruncie pojawiła się w 1976 roku we Wrocławiu nowa grupa plastyków — „Sztuka i Teoria", której członkami byli początkowo studenci PWSSP; Andrzej Sapija, Maria Zmarz i Witold Liszkowski, a później młody filozof — Bogusław Jasiński (z grupą współpracował także pisarz i krytyk — Jan Kurowicki).

Wielostronne, nie tylko artystyczne, ale też filozoficzne, społeczne i polityczne zainteresowania członków „Sztuki i Teorii" sprawiły, że najważniejszymi dla nich problemami stały się pytania o społeczny sens sztuki, o jej przydatność i zasięg oddziaływania — w obliczu głębokich przemian i rozterek nurtujących sztukę lat 70-tych. W manifeście członkowie grupy stwierdzili m. in.: „Przeciwstawiamy się metasztuce preferującej działalność laboratoryjno-eksperymentalną, czyniącą z poznania medium przekazu istotę swej działalności. Interesują nas działania zmierzające do konfrontowania sztuki z rzeczywistością społeczną nam współczesną. Zamiast jałowej penetracji przekazu artystycznego, pragniemy zadawać pytania natury ogólnej, światopoglądowej, ujawniając w ten sposób naszą postawę wobec rzeczywistości..."

Konsekwencją tych programowych założeń była pierwsza wystawa „Sztuki i Teorii", zorganizowana przed gmachem Uniwersytetu Wrocławskiego w ramach seminarium „Marksizmu w kulturze współczesnej" (1978). Pracę i wypowiedzi teoretyczne awangardy polskiej (W. Strzemiński, K. Kobro, A. Szczuka) i radzieckiej (A. Rodczenko, W. Lissitzki, W. Tatlin) skonfrontowano z nawiązującymi do tych tradycji propozycjami młodych twórców. Wystawa ta była próbą przeciwstawienia się bełkotliwości i nihilizmowi postkonceptualizmu, a także próbą przezwyciężenia odświętności wernisażowej, zerwania z mitem, że sztuka współczesna jest elitarną enklawą, bierną i wyalienowaną ze spraw aktualnych.

Ta nietypowa prezentacja spotkała się z żywym zainteresowaniem przechodniów. Zainicjowany został dialog artystów z odbiorcami, dialog dotyczący zarówno praktyki artystycznej, funkcji sztuki, jak i spraw szerszych. Narzędziem w tym dialogu stał się marksizm. Był to naturalny rezultat przekonania, że sztuka żyje w świadomości społecznej i poza nią nie ma sensu, i że — w związku z tym — postawa artysty winna być nie tylko nastawiona na poznawanie rzeczywistości, ale też na jej przekształcenie — zgodnie z postulatem „artysty operatywnego", sformułowanym przez Bertolta Brechta, a zamienionym w konkretną postawę twórczą przez radzieckich artystów okresu porewolucyjnego. Z marksizmu zaczerpnęli również młodzi wrocławscy twórcy przekonanie, że każdy człowiek może być potencjalnym artystą, kreatorem twórczych wartości.

Pierwsze próby zastosowania marksizmu w dyskusjach o sztuce nie były jednak łatwe. Chociaż bowiem marksizmu uczy się dziś na uniwersytetach, nie stał się on jeszcze powszechnym sposobem myślenia o otaczającym nas świecie. Zresztą i na uniwersytetach czasem źle się go krzewi, traktuje jak dogmat, a nie żywą naukę. Dla członków wrocławskiej „Sztuki i Teorii" marksizm stał się taką właśnie żywą nauką, której zdobycze próbują przeszczepiać na grunt sztuki. Nie ograniczają się jednak już — rzecz jasna — tylko do pism klasyków; nie mniej ważne okazały się inspiracje płynące z dzieł twórców marksistowskiej estetyki, takich jak W. Benjamin, B. Brecht, G. Lukacs i inni.

Za pierwszymi publicznymi wystąpieniami poszły następne. Celowo używam tu określenia: „wystąpienie". Nie są to bowiem wystawy w tradycyjnym rozumieniu. Wernisażom towarzyszą zawsze odczyty, manifesty programowe, dyskusje. Ich celem — podobnie jak w przypadku pokazów ulicznych dla przypadkowych przechodniów — jest stworzenie ludziom szansy swobodnej wypowiedzi o sztuce i współczesności. Samo „dzieło sztuki" bywa na ogół zresztą tylko pretekstem. Artystom szczególnie zależy na pokazywaniu tych miejsc, w których sztuka przenika do społecznej praktyki (np. teoria unizmu w malarstwie do architektury). Prezentacje plastyczne mają więc dać publiczności asumpt do głębszej refleksji, obejmującej nie tylko wewnętrzne sprawy sztuki i twórczego wasztatu.

Spośród młodych wrocławskich artystów najkonsekwentniej realizuje program „Sztuki i Teorii" Witold Liszkowski, absolwent PWSSP, laureat Medalu im. Andrzeja Wróblewskiego — najwyższego wyróżnienia organizacji studenckiej dla młodych artystów. Swoje wystawy i pokazy organizował Liszkowski w wielu miastach Polski, a także za granicą (Amsterdam, Sao Paulo). Ze wszystkich tych kontaktów najbardziej owocna okazała się jednak współpraca z wrocławską Galerią Sztuki Najnowszej przy Akademickim Centrum Kultury „Pałacyk", gdzie napotkał Liszkowski innych młodych artystów, których także nie interesuje sztuka jako wytwarzanie przedmiotów i sytuacji do estetycznej kontemplacji, sztuka odcinająca się od problemów życia i nie próbująca wpływać na rzeczywistość.

Od jesieni 1979 roku — wspólnie z Lechem Mrożkiem — prowadzi W. Liszkowski ogólnopolskie Centrum Sztuki Współczesnej we Wrocławiu. Celem tej placówki jest wypracowanie nowego modelu sztuki, przeciwstawiającego się propozycjom skazującym sztukę na wyalienowanie społeczne, a także stworzenie szansy dla społecznej aktywności kulturotwórczej. Cel ten realizować zamierza centrum różnymi drogami. Powstało pismo „Sztuka i Teoria" dotyczące marksistowskiej teorii i estetyki, organizuje się wystawy, dyskusje i seminaria w kraju i za granicą, gromadzi dokumentację ruchu artystycznego młodych, popiera istnienie grup i jednostek twórczych preferujących model sztuki zaangażowanej. Centrum pragnie również włączyć się w szeroki nurt upowszechniania kultury w różnych środowiskach społecznych.

Młodzi wrocławscy artyści pragną kontaktu ze społeczeństwa. I — szukają go. Na ogół z powodzeniem, chociaż ich działalność napotyka — rzecz zrozumiała — także opory, zwłaszcza ze strony artystycznej elity, zarzucającej im bądź to „brak dzieła sztuki", bądź sam już tylko fakt zajmowania się problemami „artysty zaangażowanego", a nawet — co jest już wynikiem niezrozumienia intencji — „agitowanie". Tymczasem Liszkowski, Mrożek, a także B. Jasiński, A. Sapija, Anna i Romuald Kuterowie i inni młodzi wrocławscy artyści, po prostu nie poddają się panującym stereotypom i modom. Szukają własnych rozwiązań nie stroniąc od ścieżek jeszcze nie przetartych, wytyczanych „po prąd" powierzchownych fobii i przyzwyczajeń. Swoje działania przeprowadzają głównie w środowisku akademickim i w galeriach Wrocławia. Ich właściwym adresatem jest jednak szerszy krąg odbiorców.

„Wychodzenie na ulicę" ze sztuką nie jest we Wrocławiu kwestią tradycji czy mody. Liszkowski, Mrożek, członkowie „Studia Kompozycji Emocjonalnej" (G. Kolasiński, J. Ryba, W. Sztukowski) organizują pełne rozmachu uliczne akcje artystyczne nie po to, by epatować czy drażnić; ich celem jest aktywne uczestnictwo odbiorców, wciągnięcie publiczności we wspólną dyskusję nad sprawami sztuki. Społeczne treści tych działań powodują, że wiele z nich napotyka rzeczywisty oddźwięk odbiorców.

Miejmy nadzieję, że jesienią 1980 roku — podczas finału Ogólnopolskich Konfrontacji „Sztuka Młodych — Łódź-80" — będziemy mogli poznać bliżej ambitną sztukę młodych wrocławian. Artystów dla których znalezienie wspólnych płaszczyzn porozumienia z szerokimi kręgami odbiorców jest głównym celem.

TOMASZ SOLDENHOFF

Andrzej Wróblewski — „Rozstrzelanie VIII", 1949, olej

NIE TYLKO HISTORIA

HISTORIA Z KOMPUTERA

Pojęcie historii ilościowej — zwanej niekiedy z francuska kwantytatywną — zadomowiło się w ostatnich latach na dobre w naszym piśmiennictwie historycznym. Stało się tak — jak sądzę — nie tylko ze względu na nadmiar sukcesów, jaki mielibyśmy odnieść w tej dziedzinie (nie ma co ukrywać, że jesteśmy daleko w tyle za innymi krajami), ile ze względu na rezultaty, do jakich doprowadziły już badania kwantytatywne prowadzone za granicą. Historia ilościowa, posługująca się skomplikowanym aparatem naukowym, wykorzystująca możliwości obliczeń na różnych maszynach elektronicznych itd., ma dziś bowiem — zarówno na Wschodzie, jak na Zachodzie — bardzo istotne osiągnięcia, w szczególności co się tyczy analizy wielkich, masowych procesów, o czym łatwo się przekonać śledząc łamy fachowej prasy bądź specjalne wydawnictwa, których jest dziś coraz więcej. Wspomnijmy tylko o radzieckiej serii badań matematyczno-historycznych, wydawanych przez AN ZSRR i o amerykańskiej serii kwantytatywnej, publikowanej przez ośrodek uniwersytecki w Princeton.

Kiedy przed laty komputer jął wkraczać na dobre do badań historycznych, niektórzy entuzjaści nowoczesności w historii poczęli głośno zapowiadać, że oto nadeszła era pełnej obiektywizacji historycznych sądów, „uwolnienia" nauki historycznej od wszelkiej ideologii, a w szczególności polityki. Nie trzeba było długo czekać, by przekonać się, że podobne zapowiedzi były tyle rozgłośne, co naiwne i wynikały z niezaspokajanych, dziedziczonych po pozytywistycznym scjentyźmie nadziei, że da się w pełni upodobnić model nauk społecznych do wzorca dyscyplin przyrodniczych. Komputer pozwala bowiem historykowi na zobiektywizowanie — nierównie doskonalsze w porównaniu ze wszystkimi tradycyjnymi środkami nauki historycznej — odpowiedzi na pewnego rodzaju, bynajmniej nie wszystkie zresztą historyczne pytania i nie daje niczego więcej. Samo pytanie zaś, od którego rozpoczyna się badanie historyczne, które określa to, co będziemy badali, wynika po staremu, również w badaniach kwantytatywnych, jak w dotychczasowych, tradycyjnych, ze źródłowej i pozaźródłowej wiedzy historyka, z jego ogólnych wyobrażeń o świecie i procesie historycznym, z jego koncepcji dziejów. Ta zaś nie rodzi się w społecznej próżni, a w ogromnej mierze zależy od zapatrywań filozoficznych, ideologicznych, nawet i politycznych człowieka, parającego się badaniami historycznymi, od przyjmowanego przezeń systemu wartości. I chociaż narzędzia są w praktyce takie same — specjaliści pouczą mnie tu, że istnieją jakieś różnice między komputerami, używanymi do badań historycznych w Stanach Zjednoczonych, w Związku Radzieckim, we Francji czy Republice Federalnej Niemiec — historiografie kwantytatywne są bardzo względem siebie różne, akurat tak samo, jak różnią się między sobą modele nauki historycznej, budowane w różnych stronach świata w oparciu o odmienne ogólne założenia metodologiczne. Komputer nie jest więc w historii lekarstwem na wszystko i to nawet tam, gdzie jest rzeczywiście przydatny. A że nie jest przydatny wszędzie, to inna sprawa: jego znaczenie maleje niemal do zera, kiedy od faktów powtarzalnych i masowych przechodzi do badania faktów niepowtarzalnych i indywidualnych. Można metodami ilościowymi znakomicie rozszerzać naszą wiedzę o faktach pierwszego z wymienionych rodzajów, ale trudno przy ich pomocy napisać biografię Napoleona czy Hitlera.

W ostatnich latach w polskich środowiskach historycznych nie tylko mówi się coraz częściej o badaniach kwantytatywnych, prowadzonych przy użyciu komputerów, ale zaczyna się je coraz intensywniej uprawiać. Kilkakrotnie zdawałem już na tym miejscu sprawę z podejmowanych przez naszych uczonych mniej lub bardziej ambitnych prób z tej dziedziny, które przyniosły wcale obiecujące, niekiedy wręcz rewelacyjne wyniki. Przypomnijmy tak bardzo różne pod względem swego przedmiotu badania, jak studia Stanisława Kalabińskiego nad składem partii „Proletariat", oraz Andrzeja Wyczańskiego nad strukturą społeczną w XVI w., by podać przykłady najciekawsze. Mamy już opracowane całe programy badań kwantytatywnych, które będą realizowane przez naszych historyków w latach następnych.

Zanim otrzymamy do ręki wyniki owych wielkich, szeroko zamierzonych, kompleksowych badań, musimy się na razie zadowolić skromniejszymi rezultatami prac, podejmowanymi przez indywidualnych badaczy, poświęconymi węższej tematyce. Są one nieraz niezmiernie interesujące. Za przykład niechaj posłuży nam monografia Joanny Hensel pt.: „Burżuazja warszawska drugiej połowy XIX w. w świetle akt notarialnych" (PWN 1979), będąca cennym studium kwantytatywnym nad problematyką struktury społecznej, a po części także kultury materialnej badanego środowiska. Oczywiście nie jest to barwny opis, oparty o pamiętniki i prasę, których jest tak wiele w dotychczasowej literaturze; jeśli ktoś oczekiwałby od autorki anegdotycznej narracji, niechaj tej książki do ręki nie bierze. Kto natomiast chciałby się dowiedzieć, czym rzeczywiście była warszawska burżuazja w badanym przez J. Hensel okresie co sobą przedstawiała, jaką miała strukturę i dynamikę — a pytania to dla historyków zasadnicze — otrzyma od autorki zobiektywizowaną odpowiedź, wprawdzie bez anegdoty, ale maksymalnie ścisłą i dokładną. Książka ta jest próbką tego, co mogą nam dać podobne badania, nawet ograniczone tylko do studium akt notarialnych. Dają one wiele, nie tylko do tematu, któremu poświęcona została ta książka. Bowiem procesy rozwoju kapitalizmu na ziemiach polskich należą z pewnością do wielkiej problematyki, która znajduje się w centrum uwagi naszej historiografii.

Prac takich powinno być z pewnością więcej, i to nie tylko poświęconych Warszawie. Kiedy doczekamy się analogicznych badań, poświęconych problematyce łódzkiej?

ANDRZEJ F. GRABSKI

Foto: E. Hartwig

Dalszy ciąg ze str. 1

gacą. A więc wystarczy w sposób administracyjny siłą zatrzymać chłopów na wsi, a w mieście będzie pod dostatkiem żywności. Jest to pogląd zupełnie błędny, czysto demagogiczny, społecznie szkodliwy, niezgodny z duchem socjalistycznego współżycia. Najlepiej więc powiedzieć sobie prawdę.

Nikt nie neguje, iż ludzie z prowincji kupują w miastach żywność, w tym również mięso. Pytanie tylko, kto i dlaczego? Otóż, jeśli w tak wielkich aglomeracjach, jak łódzka, warszawska i katowicka zaspokojenie potrzeb na przetwory mięsne sięga 100 kg na mieszkańca rocznie, to na prowincji potrzeby te zaspokajane są w stopniu niższym. Do dużych miast przyjeżdżają po mięso ludzie nie posiadający ziemi albo właściciele drobnych gospodarstw, którzy wskutek obowiązującej samowystarczalności paszowej zarzucili hodowlę trzody chlewnej.

Wiadomo, iż nie powinno się doprowadzać do tego, aby właściciel gospodarstwa specjalistycznego kupował mięso w sklepie. Niestety tacy również się trafiają i trudno im się nawet dziwić. Jeżeli rolnik za 1 kg zakontraktowanego żywca otrzymuje 46 zł, węgiel i paszę, to ubój świni we własnym gospodarstwie staje się dlań nieopłacalny. Ponadto warto wziąć pod uwagę fakt, że rodzina chłopska nie jest w stanie zjeść naraz całej świni. Aby przechować pokaźne bądź co bądź zapasy mięsa, musiałaby mieć kilka lodówek. Z powodzeniem można byłoby uniknąć tego zjawiska, gdyby we wsiach, miasteczkach i osadach nie zlikwidowano małych masarni. Ale na ten genialny pomysł wpadli ludzie z miasta.

Według niektórych opiniodawców, wieś żyje w „luksusach". Skoro tak jest, to czemu młodzi ludzie wciąż uciekają stamtąd do miast, i to nawet dzieci właścicieli zamożnych, wysokotowarowych gospodarstw?

Prawdą jest, że warunki życia i pracy na wsi uległy znacznej poprawie. Ale, prawdą jest także to, iż nadal zarysowuje się w tej dziedzinie duża różnica między miastem i wsią. W mieście młodzież ma swoje kluby, świetlice, dyskoteki, boiska sportowe, zespoły, kółka zainteresowań. Ażeby młodzież z nudów nie chuliganiła, wszyscy starają się stworzyć jej odpowiednie warunki do rekreacji. Na wsi rekreacją jest praca w gospodarstwie rodziców. W wielu rodzinach dzieci wstają o piątej rano i oprzątają inwentarz, potem czekają na autobus, który wiezie je do odległej gminnej szkoły zbiorczej, której wyposażenie w wielu wypadkach pozostawia wiele do życzenia, albo wędrują pieszo. Po powrocie ze szkoły także pracują, a uczą się późnym wieczorem.

W dobrym gospodarstwie chłopskim obowiązuje surowy rygor, tam nie wolno odłożyć roboty na potem, toteż młodzi pragną urwać się z tego kieratu, odetchnąć „wolnością". Na wsi nikt nikogo nie przyjmuje do pracy ani nie zwalnia. Pracuje się nieograniczoną ilość godzin, na okrągło, w świątek i piątek. Tutaj nikt nie wymusza na lekarzu zwolnienia chorobowego, tu nie ma wczasów, urlopów, wolnych sobót. Kiedy na budowę nie dowiozą materiałów, robotnicy śpią spokojnie w pakamerach, a gdy w fabryce zepsuje się maszyna, robotnik czeka, aż mu ją naprawią, bo w ostateczności wypłacą mu postojowe. Plan zawsze można nadrobić i wyjść na swoje w godzinach nadliczbowych.

Na wsi nikt nikomu nie płaci postojowego. Jak pada deszcz i zboże moknie w polu, chłop nie zarabia nic, tylko traci. Gdy mu nawali maszyna, sam musi ściągać fachowca do naprawy i słono mu zapłacić. Sam musi szukać i przywozić niezbędne środki produkcji, czeka w kolejce po należny mu węgiel, czeka na dostawę nawozów sztucznych i po tych „postojach" nie pomogą mu godziny nadliczbowe, bo choćby stanął na głowie, to nie wyprodukuje więcej mięsa i chleba, gdyż granice wyznacza mu żywy organizm, jakim jest jego warsztat pracy.

Młodzi ludzie ze wsi budowali pierwszy największy obiekt przemysłowy Polski Ludowej — Nową Hutę. Wznosili domy, fabryki, kopalnie, zapory wodne. W nowszych czasach werbownicy wyciągali młodych ze wsi na budowę huty „Katowice". Aktualnie około trzech milionów ludzi ze wsi dojeżdża do pracy w mieście. Najwięcej dwuzawodowych jest w wielkich aglomeracjach, takich jak łódzka. Ale oni nie czekają po dziesięć lat na mieszkanie, pomnażają potencjał przemysłowy i sami, kosztem wyrzeczeń, uciążliwej pracy, męczących dojazdów, bezsenności, budują sobie domy. Gdyby tych ludzi zatrzymać na wsi, to w sytuacji, gdy w wielu gałęziach przemysłu zaznacza się deficyt w obsadzie stanowisk pracy i są unieruchomione drogie urządzenia licencyjne, stałoby się to nieobliczalną i niepowetowaną stratą.

Jest faktem, iż mamy na wsi 2,4 mln rolników o niskich kwalifikacjach, z nie ukończoną szkołą podstawową. Ale od 1 lipca 1980 r., gdy powszechne staną się renty i emerytury dla wsi, do roku 1985 milion gospodarstw chłopskich zmieni właściciela. Około 700 tys. młodych rolników przejmie gospodarstwa od rodziców, a więc w jednej trzeciej wszystkich gospodarstw nastąpi wymiana pokolenia. Będą to rolnicy z kwalifikacjami, gdyż tylko tacy mogą zostać spadkobiercami.

Do niedawna chłopi, często z obawy przed tzw. wycugiem, przekazywali gospodarstwa stosunkowo późno, nierzadko w wieku 75 lat. Wpłynęło to ujemnie na wysokość dochodów następców, albowiem młodzi ludzie przejmowali gospodarki zaniedbane, z budynkami w ruinie, i musieli zaczynać od podstaw. Nie zaglądając nikomu do kieszeni, należy stwierdzić, że młody rolnik zakładający duże gospodarstwo specjalistyczne, otrzymuje od państwa wysoki kredyt, dochodzący do 60 proc. wartości kosztorysu planowanej inwestycji. W okresie tzw. karencji nie spłaca długu, żeby gospodarstwo, podobnie jak zakład pracy, doszło do pełnej mocy produkcyjnej. Jeżeli rolnik osiągnie właściwą produkcję, część długu zostaje umorzona. Jak by jednak liczyć, to aby rozwinąć 20-hektarowe gospodarstwo, nastawione na hodowlę bydła mlecznego, rolnik bez pomocy państwa musi włożyć milion złotych, nie licząc materiału hodowlanego, maszyn i budowy domu. A więc sporo trzeba spłacać i z tymi dochodami nie jest wcale tak słodko.

Warto w tym miejscu przypomnieć, iż robotnik w mieście dostaje od państwa gotowe stanowisko pracy. Rolnik sam buduje swój warsztat, za własne pieniądze, w dodatku jeżdżąc po województwie i kraju po potrzebne materiały. Zbudowany przez rolnika warsztat pracy produkuje dla całego społeczeństwa.

Badania socjologiczno-ekonomiczne wykazują niezbicie, iż wysokość dochodów w mieście i na wsi kształtuje się w stosunku 100:75 na niekorzyść wsi. Z badań prof. J. Piotrowskiego wynika, że tysiące właścicieli gospodarstw, ludzi samotnych, starych, uzyskuje dochody w wysokości 6—15 tys. zł rocznie.

ZA ROGATKAMI

Mit o szybkim bogaceniu się wsi powstał wokół grupy kilkunastu tysięcy wielkich producentów kwiatów, hodowców lisów lub norek oraz wysokiej klasy specjalistów w hodowli trzody chlewnej i bydła. Ale to samo można by powiedzieć o właścicielach butików, gdzie kiecka z tetry sprzedaje się jako dzieło sztuki za 3 tysiące zł. Likwidować butiki? Nie! Gdyby butików było więcej, ceny na pewno by spadły.

W referacie programowym na VIII Zjazd, tow. Edward Gierek stwierdził: „Konsekwentnie stosujemy politykę podwyższania cen skupu sprzyjającą poprawie opłacalności produkcji rolnej". I sekretarz powiedział także: „Chcemy, by nadal rosły dochody rolników. Zależeć one powinny od wzrostu produkcji rolniczej i poprawy jej efektywności".

Chodzi tylko o to, żeby te dochody uzyskiwano legalnie, w sposób uczciwy, z pożytkiem dla społeczeństwa.

W minionym dziesięcioleciu kupowaliśmy wiele licencji, budowaliśmy hutę „Katowice", fabryki, drogi, kopalnie odkrywkowe i węgla kamiennego, elektrownie i porty. Nie była to więc dziesięciolatka rolnicza, ale w tym okresie nakłady na rolnictwo i przemysł spożywczy były aż trzykrotnie wyższe niż w latach sześćdziesiątych, a przyrost majątku na jednego zatrudnionego w rolnictwie wzrósł o 75 proc. Dzięki tym nakładom produkcja towarowa wzrosła o 46 proc., w tym pogłowie trzody chlewnej o 60 proc., bydła o 25 proc., owiec o ponad 37 proc. Nie można więc mówić, że w rolnictwo tylko się ładuje, nie uzyskując wzrostu produkcji żywności. Warto natomiast wyjaśnić, że jeśli produkcja zwierzęca wzrosła o 40 proc., to produkcja roślinna zaledwie o 7 proc. Nie zawiniły tutaj wyłącznie warunki atmosferyczne. O tej dysproporcji, w wyniku której trzeba importować olbrzymie ilości pasz, decydowały także nierytmiczne dostawy środków produkcji. Wprawdzie w minionej dekadzie dostawy nawozów sztucznych wzrosły o około 50 proc., ale planowano wysiewanie 250 kg NPK na hektar, a wysiewa się 200 kg. Liczba ciągników zwiększyła się 2—5-krotnie, kombajnów do sprzętu zbóż — 3-krotnie, lecz wciąż jest ich za mało.

Siłą rzeczy wydajność pracy na wsi musi być niższa niż w przemyśle, gdyż decyduje o tym uboga technika, niższe kwalifikacje rolników oraz warunki pogodowe. Nieprawdą więc jest, jakoby rolnicy słabo produkowali z obawy i niepewności, iż pozbawi ich się ziemi i środków produkcji. Trzeba być ślepym i głuchym, albo po prostu złośliwym, żeby wyznawać podobne poglądy w chwili, gdy partia największy nacisk kładzie na stabilność polityki rolnej. Edward Gierek powiedział z trybuny zjazdowej: „Pryncypialną zasadą naszej polityki rolnej — wypracowanej i realizowanej wspólnie ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym jest i pozostaje kojarzenie stałego wzrostu produkcji ze stopniową przebudową chłopskiego rolnictwa (...). Polityka ta spotkała się z akceptacją szerokich rzesz chłopstwa i odpowiada najbardziej żywotnym interesom całego narodu (...) Generalne jej zasady są słuszne i powinny być utrzymane".

W innym fragmencie swego wystąpienia I sekretarz stwierdza: „Zasadnicze znaczenie ma trwałość zasad naszej polityki rolnej. Daje to rolnikom poczucie pewności ich sytuacji, niezbędne dla podejmowania decyzji dotyczących losów ich gospodarstw i ich rodzin".

Otóż to! I dlatego mamy tak pięknie budującą się wieś. Bo chłop wierzy partii. Chłop jest ostrożny, trzeźwo myślący, wyrachowany i jeśli wkłada setki tysięcy złotych w budowę domu, obory, stodoły, to robi to z myślą o swoich dzieciach i wnukach, którzy będą z tego korzystać. Jeżeli więc buduje, to ma poczucie pewności.

Z miliona gospodarstw, które do roku 1985 zmienią właściciela, tylko 300 tys. przejdzie do sektora uspołecznionego. Na tym właśnie polega proces przeobrażenia wsi, bez stwarzania antagonizmów między sektorem prywatnym i uspołecznionym, bo to nie leży w interesie społecznym.

W kraju samorzutnie powstają spółdzielnie produkcyjne, co roku ponad 300, i osiągają one bardzo dobre wyniki. Koncentracja ziemi na siłę, dla wykazania się, może przynosić tylko straty. Z terenu napływa np. do władz centralnych informacja, że nowo powstały kombinat rolny zagospodarował kilka tysięcy hektarów ziemi, a potem wychodzi na jaw, że obsada wynosi tam 4 ludzi na 100 ha, zbiera się 7 q żyta i 30 q buraków z hektara. Takich przykładów nikt sobie nie życzy, gdyż stanowisko partii jest jednoznaczne: ziemia musi trafiać do najlepszych.

W okresie Polski Ludowej do miast trafiło 5 mln mieszkańców wsi. Większość z nich przyjeżdża w rodzinne strony, pomaga w gospodarstwach, rozumie sprawy rolnictwa. Ale są i tacy, którzy uciekając z radością z biednej ojcowizny, z wyciągniętą od rodziców spłatą w kieszeni, widząc teraz, że na wsi wiele się zmienia, i czują się pokrzywdzeni. Patrząc z zawiścią na przeobrażenia wsi wyrażają swoje niezadowolenie. Kto wie, czy to nie oni właśnie mówią o nadmiernych dotacjach dla rolnictwa? Należałoby więc im uprzytomnić, że kryzys energetyczno-paliwowy i zwyżka cen surowców zmusza nas do oszczędności i pewnych ograniczeń inwestycyjnych, i że dotyczy to także rolnictwa. Ale za to, co rolnictwo otrzyma, powinno pod koniec pięciolecia zwiększyć produkcję żywności o 12—13 proc. Ponadto zamierza się w ciągu 5 lat zrównoważyć bilans handlu zagranicznego w zakresie produktów rolnych i ograniczyć do minimum import żywności. Ażeby osiągnąć ten cel, większość zmagań musi się toczyć poza rolnictwem. Jest to trudne, odpowiedzialne zadanie, którego nie rozwiążą jałowe dyskusje na temat rzekomego bogacenia się chłopstwa. Potrzebny jest wspólny, mozolny wysiłek, spokój, rozwaga i poczucie stabilności, ugruntowane trwałością sojuszu robotniczo-chłopskiego, gdyż tylko w takiej atmosferze istnieją realne szanse, aby w oparciu o własną produkcję rolną wyżywić naród. Tego chce partia i tego pragnie każdy uczciwy, rozsądnie myślący Polak.

RYSZARD BINKOWSKI

Foto: R. Łucyszyn

Maski żyją dziś samodzielnym życiem. Ta, na zdjęciu, wykonana przez Zygmunta Kusaka, została wyróżniona w konkursie galerii lamus.
Foto: L. Kostuś

MAŁGORZATA GOLICKA

W STARYM LAMUSIE

Herbata gotowa. Mary Hibner uśmiecha się zwyczajnie, wcale nie jak na scenie i nalewa pięćdziesiątą już chyba szklankę herbaty. O godzinie 16 odbierze nagrodę za ceramiczną maskę (jakby jej było jeszcze mało aktorstwa i muzyki). A że do uroczystości zostało jeszcze trochę czasu, więc Mary się poświęca. Zmywa szklanki, parzy herbatę i kroi niezliczone kromki chleba. Wszystko przez ten niedzielny koncert, który nie pozwolił Halszce Dutkowej, właściwej gospodyni lamusa, zająć się gośćmi.

Mary kroi więc chleb, ale na smarowanie smalcem już nie starcza jej czasu. Zresztą do smalcu nikogo zachęcać nie trzeba, bo pachnie na całą izbę. Sporządził go, jak zwykle, Leszek Dutka, zerkający teraz z niepokojem na gliniany dzbanek. Wiadomo, że wszystko może się wydarzyć, ale chleba i smalcu musi starczyć dla wszystkich. Co chwila otwierają się drzwi i wchodzi ktoś nowy.

— *Prosimy do środka* — zapraszają Mary i Leszek. — *Państwo pierwszy raz? No to serdecznie witamy. Zaraz podajemy herbatę. Bardzo zimno na polu?*

Przy długim, kilkumetrowym stole, wszystkie miejsca już zajęte. Ktoś przynosi dwie deski, kładzie na krzesła i mamy dodatkowe ławy. Siada na nich ze sześć osób. Rozmawiają po niemiecku, pewnie Niemcy albo Szwedzi. Jakaś pani cichutko gra na pianinie. Nowicjuszy poznać po tym, iż buszują po lamusie jak po strychu. Nic dziwnego. Tyle tu różności do oglądania: stary globus na pianinie, zakurzone sztychy, prawdziwa skawińska malowana skrzynia, tremo jak z sypialni prababki, ogromniasty XIX-wieczny kredens i angielskie fajanse. Gospodarz skupywał to sam na „plich targach", wyciągał z piwnic podkrakowskich chałup i ściągał do Pisar aby lamus wyglądał tak, jak na lamus przystało.

Czekając na godzinę 16, o której, jak doniosła krakowska prasa, zacznie się to najważniejsze, ucze się historii. Najpierw z oficjalnej informacji Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, umieszczonej na tablicy przy drzwiach: *„Lamus z XVII wieku, pierwotnie na pół obronny, piętrowy, podpiwniczony, na planie kwadratowym. Od frontu na piętrze drewniany ganek. Na piętrze jedna izba sklepiona kolebkowo. Zabytek pod ochroną"* Potem już muszę oprzeć się na ustnym przekazie. Słucham więc że położony w Pisarach, 25 kilometrów od Krakowa, lamus należał do Potockich z Krzeszowic i wchodził w skład zabudowań dworskich. Przechowywano w nim zboże i różne rupiecie, których we dworze nie brakowało. Przez długie, powojenne lata stał zaniedbany. Odremontowano go dopiero przed 10 laty i przeznaczono na klubo-kawiarnię. Zabytkowym murom nie służyły jednak huczne zabawy i kawiarniane napoje. Wkradła się w nie wilgoć. Biedne domostwo znów potrzebowało opiekuna. Zaczęły się poszukiwania, aż cztery lata temu męską decyzję podjął Leszek Dutka, krakowski malarz ceramik i poeta. Wydzierżawił on oficjalnie lamus za symboliczne 150 złotych miesięcznie i przystąpił do działania. Najpierw założył elektryczne ogrzewanie, osuszył mury, zabezpieczył zamki i kłódki. Potem przytaszczył do lamusa starocie. Wreszcie zaczął namawiać swoich przyjaciół, aby w lamusie koncertowali, wystawiali obrazy i urządzali wieczory autorskie.

I tak się zaczęło. Długa jest lista artystów, którzy przewinęli się przez Pisary. W lamusie występowały m. in. kwartety Lucyny Szczepańskiej, grał krakowski kwartet obojowy, wystawiali swoje obrazy: Jerzy Panek, Marek Maciejewski i Witold Urbanowicz. Zawitał tu ze swymi pracami Tadeusz Mysłowski z Nowego Jorku i Don Jose Fernando de la Perez z Hiszpanii. Przyjeżdżała też telewizja i kronika filmowa. Potem Leszek Dutka wpadł na pomysł organizowania stałych imprez. Latem, odbyło się tu niesamowite widowisko pt. *„Strachy"*, był konkurs dla mieszkańców wsi *„Bramy i bramki"*, który pokazał, jak można uchronić od brzydoty zwykłą wiejską furtkę. Na takie imprezy przyjeżdżają już stali bywalcy. Wierni są Dutkowym pomysłom profesorowie Akademii Sztuk Pięknych a wśród nich prof. Cybisowa, muzycy, aktorzy, dziennikarze, a przede wszystkim miłośnicy sztuki i dobrej zabawy. Nikt nie bierze za występy honorarium, niepotrzebne są bilety i karty wstępu. Leszek Dutka wywiesza afisze we wsi i zaprasza do siebie jej mieszkańców. Zresztą, nie trzeba ich zapraszać, sami przychodzą. Tak więc Leszek Dutka, z dzierżawcy lamusa awansował na kierownika *„galerii lamus"*. Jedynego chyba szefa, który pracuje bez pensji, bez personelu i nie liczy złotówek, które z własnej kieszeni wydaje na poczęstunek dla dziesiątków gości

O 16 wreszcie się zaczyna. W sali na piętrze tłum ludzi. Przyjechała dyrektorka Gminnego Ośrodka Kultury w Zabierzowie i przedstawicielka Krakowskiego Domu Kultury *„Pałac Pod Baranami"*. Przy współudziale tych instytucji i pod patronatem Wydziału Kultury w Krakowie odbywa się zainicjowany przed trzema laty przez Dutkę otwarty konkurs na najbardziej oryginalną i dowcipną maskę. Któż dziś pamięta o przebierańcach, ulubionych staropolskich rozrywkach. Poczytajmy tylko Bystronia i Kitowicza. Najchętniej przebierano się właśnie podczas trzech ostatnich dni karnawału, *„a w niedzielę mięsopustną to już maszkary, przebierańce nie miały miary"* — oburzał się sam Rej. Dziś, maskaradowe tradycje kontynuują co najwyżej dzieci. Zanikły zwyczaje, ale nie musiała zniknąć wyobraźnia i pomysłowość. Tę właśnie wyobraźnię postanowił wykorzystać Dutka organizując konkurs, którego wyniki ogłasza się w ostatnią, zapustną niedzielę.

Tymczasem gości przybywa. Trudno się już docisnąć do ścian, na których wiszą maski. Są przeróżne: tradycyjne i całkiem współczesne, robione z włóczki na drutach, rzeźbione w drewnie i wypalane w glinie. Niesamowite i łagodne, przypominają indiańskie totemy lub zabawki dla dzieci.

Wśród laureatów — plastycy, znani zapewnie i łodzianom: Romana Szymańska-Pięskowska i Danuta Urbanowicz, autorka smakowicie wyglądających masek z ciasta. Są wśród nich amatorzy, jak np. próbująca swych sił w ceramice Mary Hibner są dorośli i dzieci. Wyróżnienia i dyplomy otrzymują także niemieccy plastycy, ci sami, którzy siedzieli na ławie z desek.

Za kolędę dziękujemy, zdrowia, szczęścia winszujemy — śpiewają kolędnicy z Niepołomic, specjalnie sprowadzeni przez organizatorów, aby najmłodsi mogli zobaczyć, do czego niegdyś służyły maski.

Jeszcze kolędnicy przygrywają na skrzypcach, a już słychać, jak na parterze buszuje teatr *„Milimetr"* z *„Pałacu Pod Baranami"*. Eksperymentalny zespół młodych (jego członkowie nie mają więcej niż dwadzieścia kilka lat) skutecznie „maltretują" gości. Ustawiają scenki rodzajowe, każą leżeć nieruchomo na stole, zapalać świece, krzyczeć, stać na jednej nodze, aby w końcu oznajmić, iż był to *„Polaków portret własny"*.

Eksperyment ma swoje prawa, również do poszukiwań. Podzielił więc lamusowych gości na dwa obozy. Całe szczęście, że siedzą przy jednym stole. Dochodzi sporo ludzi ze wsi. Mary liczy wiadra wody i bochenki chleba. Pani Milunia cały czas gra na pianinie, a Józef Trutkowski, poeta amator, w przerwach czyta głośno swoje wiersze. Ewa Richter, niemiecka aktorka, recytuje poezję i też się bardzo podoba.

— *Wszyscy cieszą się, że jest tu inaczej niż w każdym domu kultury, ciekawiej, swobodniej* — mówi do mnie pani Teresa Nagły, dyrektorka GOK. — *Gdybyśmy mieli więcej takich galerii...* — marzy.

Leszek Dutka nie formułuje założeń, nie tworzy regulaminu, nie mówi mętnie o percepcji i integracji. Polszczyzny uczył się w gimnazjum jeszcze przed wojną, oszczędza swoim gościom wystąpień na temat współczesnych środków popularyzowania sztuki. Otwiera przed nimi szeroko drzwi, zaprasza do stołu. Częstuje dobrą muzyką, poezją i obrazami. Nie uważa za profanację, jeśli pije się przy tym herbatę, a w lecie robi przerwę na opalanie. W lamusie poznaje się nowych ludzi, zawiera przyjaźnie. Łatwo tu o serdeczny uśmiech, gest, wzruszenie. I o to właśnie Leszkowi Dutce chodzi.

Sam nie cierpi pompy, garniturów i gali na wysoki połysk. Zastanawia się ciągle, czy tradycyjne muzea, w których nie wolno pobrudzić podłogi i wieczory autorskie, podczas których publiczność sztywno siedzi na krzesłach, najbardziej odpowiadają współczesnym zmęczonym widzom? Czy wielkich wzruszeń wynikających z obcowania ze sztuką doznaje się tylko podczas nienaturalnie podniosłej atmosfery?

Dopalają się ostatnie świecie w żyrandolu. Przy pianinie śpiewają góralskie „piosneczki". Jakaś para z „Milimetra" tańczy do upadłego. Prawdziwa zapustowa zabawa. Goście powoli się rozchodzą. Najwierniejsi lamusowi bywalcy w dziesięć minut doprowadzają izbę do porządku. Ostatni rzut oka na skawińską skrzynię. Gasimy świece, niemiło stuka kłódka na drewnianych drzwiach.

Jutro Leszek Dutka jedzie do Warszawy. Wraz z innymi krakowskimi artystami, naukowcami i społecznikami został zaproszony do Ministerstwa Kultury i Sztuki. Miał mi pokazać zaproszenie, ale zapomniał, zajęty swymi gośćmi.

Trudno, po co pojechał do stolicy, dowiemy się następnym razem.

Galeria lamus w całej okazałości. Na parterze goście smakują chleb ze smalcem, na piętrze oglądają wystawy.
Foto: T. Zapart

WACŁAW PAWLAK

REDUTA ŚMIECHU CZYLI BI-BA-BO

Półmilionowe miasto, jakim w przeddzień pierwszej wojny światowej była już Łódź, potrzebowało rozrywki. Znużeni całotygodniową, wyczerpującą pracą „lodzermensze" najchętniej wypoczywali pod opieką lekkiej muzy. Mnożyły się więc w Łodzi teatrzyki kabaretowe. W 1914 roku było ich sześć: „Aquarium", „Corso", „Ermitage", „Urania", „Colosseum" i „Scala". Najpopularniejsza „Urania", przejawiająca w swoim repertuarze pewne artystyczne ambicje, należała do Teodora Junoda, z pochodzenia Szwajcara, ojca Eugeniusza Bodo, znanego w okresie międzywojennym aktora rewiowego i amanta filmowego.

Kabarety łódzkie, z ich szynkowniano-lupanarową atmosferą i programem widowisk złożonym z mieszaniny występów żonglerskich, ekwilibrystycznych, akrobatycznych, tanecznych i wokalnych, nie cieszyły się dobrą opinią miejscowych literatów i recenzentów. Całkiem inaczej odnieśli się oni do bawiącego w Łodzi na gościnnych występach warszawskiego kabaretu satyrycznego „Momus", wykazującego spore aspiracje artystyczne. Wizyta tego teatrzyku stała się w kręgach miejscowej inteligencji wydarzeniem znacznej miary. Nie szczędzono pochwał młodym „Momusowym" aktorom.

Po upadku warszawskiego kabaretu w 1911 roku część jego twórców przeniosła się do Łodzi. Skupili się oni wokół tygodnika humorystycznego „Śmiech". Pismo to związane było ściśle z „Gazetą Łódzką" wydawaną przez Jana Grodka. Kierownikiem literackim „Śmiechu" został Konrad Tom (Runowiecki), przedtem jedna z czołowych postaci „Momusa".

W środowisku tym powstał projekt założenie w Łodzi kabaretu literackiego wzorowanego na warszawskim „Momusie". Czas dla takiego przedsięwzięcia był odpowiedni, gdyż właśnie rozpoczął się karnawał 1914 roku. Próbą kabaretu stała się szeroko zareklamowana w łódzkiej prasie „Reduta Śmiechu". Odbyła się ona 24 stycznia w sali hotelu „Savoy" przy ul. Krótkiej (obecnie Traugutta). Program widowiska kabaretowego obejmował atrakcje w rodzaju: Pipman agentem ogłoszeniowym, Co kosztuje Łódź?, Żywy Maksio Linder, Miłość na raty, Spowiedź dziewicy. „Reduta Śmiechu" spełniła pokładane w niej nadzieje. Gazety miejscowe wyrażały się pochlebnie o widowisku. Była to zachęta dla zorganizowania w Łodzi stałego kabaretu literackiego.

W tymże „Savoyu" w dniu 1 marca 1914 roku otworzył swe podwoje stały kabaret pod nazwą „Bi-Ba-Bo". Kierownikiem scenki został były sekretarz „Momusa" Stefan Bolesta-Wydżga. Duszą zespołu był jednak Konrad Tom. Przystojny i wytworny, dobry aktor i piosenkarz, w skeczach kabaretowych odtwarzał role elegantów i typy żydowskie. Wyróżniał się zwłaszcza jako dowcipny i inteligentny konferansjer.

W zespole „Bi-Ba--Bo" występowała znakomita pieśniarka, Józefina Borowska, zwana polską Ivette Gilbert. Twórca „Momusa", Arnold Szyfman wspomniał, że była to „pieśniarka o prześlicznym głosie, pięknej frazie i słodko lirycznym wyglądzie". Jako wykonawczyni pieśni stylowych zyskała sobie dużą popularność. Sporymi względami łódzkiej publiczności cieszył się Czesław Kaden, aktor, śpiewak, komik estradowy, wyróżniający się wyrazistą mimiką. Dorównywał mu Ludwik Lawiński, doskonały komik, monologista i piosenkarz, spec od tzw. szmoncesów.

Na deskach scenicznych „Bi-Ba--Bo" stawiał pierwsze kroki później-szy znakomity aktor i piosenkarz kabaretowy Józef Urstein. Utrwalił się on w pamięci Ludwika Sempolińskiego jako „niewysoki, z ogoloną głową, o wybitnie semickim wyglądzie". W piosenkach szmoncesowych zdobył sobie duże uznanie publiczności. Szczególnie popularne były tzw. monologi Pikusia, wygłaszane przez Ursteina przy telefonie.

W „Bi-Ba-Bo" wystawiano zazwyczaj satyryczne rewie, nasycone miejscowymi aluzjami, jak np. Geniusz Łodzi, Na falach Łódki, Łodzianie w Berlinie. Teksty dla teatrzyku pisali: Konrad Tom, Stefan Bolesta, a także współpracownicy „Gazety Łódzkiej" Andrzej Nullus (Eliasz From) i Henryk Frenkiel, używający pseudonimu „Lari-Fari" i inni. Niektóre teksty rewietek wystawianych w kabarecie zamieszczane były w „Śmiechu".

Wybuch pierwszej wojny światowej spowodował przerwę w działalności kabaretu „Bi-Ba-Bo". Najwybitniejsi jego współtwórcy, uchodząc przed inwazją niemiecką, znaleźli się w Warszawie, gdzie wkrótce założyli kabaret „Czarny Kot". Wznowiony w Łodzi po pewnym czasie teatrzyk „Bi-Ba-Bo", działając w uciążliwych warunkach cenzury wojennej, przetrwał niemal do końca 1915 roku. Mimo odpływu najlepszych sił aktorskich cieszył się on do ostatka przychylnością publiczności i poparciem łódzkiej prasy.

ZENON DUNAJCZYK

Z cyklu: ROZMOWA Z JANEM

* * *

Janie, cóż to za słowo szare, jak pień głuche
Które nie wie, gdzie dzwonią i skąd wiatry wieją
Które na żart złośliwy nie zastrzyże uchem
I nigdy nie wyrośnie, gdzie go nie posieją

Toć w nim ani krzty głosu piszczącego w trawie
Drobiny niepewności, ździebełka wahania
Ni myśli nie zatrzyma i ani co powie
Takie jest przezroczyste od wyklarowania
A jeśli czasem frunie choć z piór obleciało
To jedynie dlatego, że słuch nam zatkało

WYZNANIE

ZOSI

Zaczekaj — tylko obnażę się z róży
Dla ciebie napisanej — tylko zdejmę z siebie
Wiersz i może jeszcze księżyc uwolnię ze smyczy
Zobacz wreszcie, jak łuszczy się moja cierpliwość

Zaczekaj — jak chciałaś stoję rozebrany z rzeczy
Które kiedyś zmyśliłem sobie na ratunek
Aż po krawędź oddechu i krwi rozbrojony - - -
Mam tylko na obronę twą wyrozumiałość

PRZYBOSIA KATEDRA WIERSZA

Spod słów które jak modlitwa unoszą sklepienie
I nad skupionym Wnętrzem wiążą ostrołuki
Odwija się ta w niebo wzlatująca przestrzeń
Trafiona wież strzałami paryskiego wiersza

Tam złożoną katedrą — jak Notre Dame prawdziwa
Ze słów, ze światła języka — z jego przerażenia
Jest przepaścią tak trwale odrzuconą w górę
Że aż prawie dosięga mowy podniebienia

FELIKS RAJCZAK

* * *

To pójdzie jarem duktem prądem
Ciepłym przez pole las i wodę
Ktoś zauważy obojętnie
Lub zgubi trop naszych sygnałów

Rzeka co płynie przez roztocze
Lśniąc w słońcu pragnie wejść na wzgórze
Przenika wstęgą przez niebioskłon
I zapomina o sitowiu

* * *

Kiedy sił mi przybywa
i serca nie czuję
jesiennym powitaniem
patrzę w niebo jasne

Będzie dobrze i długo
wzdłuż lasu iść muszę
poznam was i odsłonię
swoje tajemnice

3. X. 1979

* * *

Zapomnieniu przedawnieniu
Ulegają nasze sny
Miodem wieje z oddalenia
W próchniejący gaju mit

Głowę chowasz oszronioną
W przysiadły za węgłem bez
Sny powtórzą się o świcie
Który będzie wiecznym Jest

GRZEGORZ KOŚCIUSZKO

* * *

Co z sobą zrobię?
Lubię podłe knajpy
I towarzystwo bardzo podejrzane
Moim nieszczęściem są moje manie
I kac okrutny w nocy lub nad ranem

Co z sobą zrobię?
Zaszyty esperal nie dał mi szczęścia
Nad dachami płynął
Anioł Zagłady z filmu Bunuela
Podał kieliszek i skrzydła rozwin

Co z sobą zrobię?
Czeka dama w czerni
Przez chustę usta podaje czerwone
Ten pocałunek otwiera mi przestrzeń
W okno ogromne zielone

JERZY S. FELIKSIAK

ODWOŁANIE

Brzozowski siedział przy zarzuconym papierami biurku i zastanawiał się nad sprawą o zatrucie przemysłowe. Klient, 50-letni farbiarz, zniszczony długoletnią chorobą zawodową, zostawił mu kilka urzędowych pism, z których wynikało, że zakład pozbył się pracownika z powodu choroby, a komisja lekarska do spraw inwalidztwa gruźlicę płuc i chorobę układu krwiotwórczego zamieniła w „samoistne dolegliwości, nie kwalifikujące do żadnej grupy inwalidzkiej"

— *Trzeba najpierw pisać do prezesa* — zadecydował odkładając dokumenty. — *Po negatywnej odpowiedzi zostanie jeszcze sąd ubezpieczeń społecznych.*

Odszukawszy w książce telefonicznej adres centrali ZUS przysunął maszynę i wkręcił papier. Początkowo pisał prawie mechanicznie, bez obawy o słowa i zdania, które znał ze schematu skargi. Dopiero przy uzasadnieniu zatrzymał się na chwilę, żeby uporządkować zarzuty i wykazać niewłaściwość postępowania komisji. Jeszcze dwukrotnie robił przerwy, lecz po kwadransie mógł już pismo wykręcić z maszyny. Wyjął papierosa z leżącej obok paczki i zapalił. Z uczuciem zadowolenia odchylił się lekko na krześle. Zaraz jednak z powrotem pochylił się nad biurkiem. Warto jeszcze napisać do wydziału zdrowia o bezzwrotną pożyczkę — zaopiniował uzupełniająco. Z wczorajszej rozmowy z farbiarzem wynikało, że klientowi oszczędności już się kończyły i w najbliższym czasie zostanie bez środków utrzymania. Więc wniosek o pożyczkę konieczny.

Wypaliwszy papierosa zabrał się do pisania wniosku. Ta dodatkowa praca zajęła mu zaledwie kilkanaście minut. Był sam, więc jego decyzje i czynności nie napotykały żadnych przeszkód. Mógł się nie obawiać zastrzeżeń dobrego, lecz bardziej praktycznego szefa, który nie zawsze wyrażał zgodę na gratisowe podania. Stary radca wyjechał na kilka dni do Warszawy i biuro pozostawało pod opieką Brzozowskiego. Chociaż szef kilkakrotnie dawał dowody zaufania, to tym razem powierzając mu prowadzenie spraw na czas swojej nieobecności, uznawał go już za równorzędnego prawnika i uczciwego sublokatora. Początkowo dając Brzozowskiemu nocleg w biurze, po każdej nocy radca sprawdzał papiery i niewielkie sumy pieniędzy zostawiane w kasie. Potem przekonawszy się, że papiery są uporządkowane, a w kasie nie brak żadnej złotówki, powierzał mu coraz większe sumy i poważniejsze sprawy. Teraz zostawiając go na kilka dni samego w biurze, uczynił z niego prawie wspólnika bez pieniężnego wkładu.

Brzozowski włożył skargę oraz wniosek z dokumentami do teczki i zaczął przeglądać pozostałe sprawy. Najważniejsza, adresowana do instancji związkowej, postanowił załatwić jeszcze dzisiaj, pozostałe odłożył na poniedziałek. Było lato, okres urlopów, pracy miał niewiele i w przyszłym tygodniu mógł liczyć tylko na kilku interesantów. Żeby się po niedzieli nie nudzić, sprawy mniej ważne zostawił na następne dni. Jedna z nich kwalifikowała się bardziej do redakcji satyrycznego pisma niż do biura porad prawnych. Klient skarżył się na ekspedientkę, która sprzedała mu używane slipy, a potem oddaliła reklamację. Podobno slipy były z importu, więc ekspedientka *nie zamierzała jeździć po świecie i szukać tego, który nosił je na tyłku.* Chociaż klient miał gest i za napisanie twóch ostrych skarg zostawił sto złotych, to jednak Brzozowski sprawę slipów zasegregował jako ostatnią.

Wstał od biurka i podszedł do okna, z którego mógł popatrzeć na słoneczną ulicę. Ruch był większy niż przed godziną. Z pobliskiego sądu i niektórych zakładów ludzie wychodzili coraz większymi grupami. Przez chwilę stał przy oknie patrząc na barwny tłum i zatłoczone tramwaje, po czym odwrócił się w stronę stolika, na którym stała szklanka z nie dopitą herbatą. Właściwie powinien pomyśleć o obiedzie, lecz nie odczuwał głodu, tylko pragnienie. Wypił resztę herbaty i wrócił do biurka. Zapaliwszy papierosa, zaczął powoli pisać skargę do Rady Związków Zawodowych. Wystukiwane na maszynie słowa układały się w ciemny grafik krzywdy. Kolejne zdanie zachodziło na drugą połowę karty, gdy czyjeś wejście oderwało go od pisma. Podniósł głowę i nieoczekiwanie ujrzał przy drzwiach kobietę, od której musiał odejść. Teraz musiał uwierzyć, że to Halina weszła do biura. Szybciej spodziewałby się przypadkowego spotkania z teściową niż odwiedzin niewiernej żony. Starał się zapanować nad gmatwaniną uczuć i myśli, żeby jak najspokojniej wydobyć z siebie stereotypowe „słucham".

Pozorowała zaskoczenie. Zrobiła nawet ruch, jakby chciała wyjść. W końcu wyjaśniła, że przyszła po poradę do radcy.

— *Pan radca wyjechał i przez kilka dni go nie będzie* — poinformował tonem dalekim od uprzejmości. Równocześnie próbował odczytać z jej twarzy, czy rzeczywiście przyszła do radcy, czy do niego. Jeżeli do radcy, to prawdopodobnie ze sprawą rozwodową. Jeżeli do niego, to chyba w innym celu.

Zawahała się na moment, a może tylko pozorowała niezdecydowanie, potem usiadła na najbliższym krześle.

— *Zaskakujące spotkanie* — powiedziała wolno, jakby w zamyśleniu. — *Nie widzieliśmy się od kilku miesięcy. Już z tego względu mógłbyś być mniej oficjalny. Wiem, że gniewasz się z powodu tych plotek o moim romansie z Galewiczem i z innych powodów. Możliwe, że nie jestem idealna. Nie zasłużyłam jednak na takie potraktowanie. Jeżeli nie widzisz już we mnie żony, to przynajmniej nie traktuj mnie gorzej od innych klientek.* — Początkowa niepewność w jej głosie zmieniła się w ton wyrzutu.

— *Spodziewałaś się u mnie radości, uśmiechu szczęścia i komplementów?* — spytał nie bez zdziwienia.

Zgniótł w popielniczce papierosa i spojrzeniem starał się prześwietlić twarz żony. Potem, gdy wzrok przypadkowo trafił na odsłoniętą część uda, zapomniał o spokoju i obojętności. Zauważyła to, bo zmieniła pozycję na swobodniejszą niż dotychczas.

— *Myślałam, że jako kobieta jeszcze ci się podobam. Kiedyś widziałam cię z podobną do mnie. Nie znam twoich klientek, przypuszczam jednak, że nie przychodzą tu tylko takie piękności jak tamta* — powiedziała nieco wyzywająco.

Milczał zdając sobie sprawę, że niewierność i rozbicie małżeństwa chce sprowadzić do zwykłego nieporozumienia. Rozmawiała z nim tak, jakby nie był zdradzonym mężem, tylko znudzonym kochankiem.

— *Ale nie mówmy o tym, jeśli cię to drażni* — mówiła już nieco innym tonem. — *Przyszłam do radcy, ponieważ zmieniam pracę i nie chciałabym na tym stracić. Twoja była szefowa i dyrekcja twierdzą, że przechodząc do innej instytucji tracę prawo do urlopu. Podobno jest takie rozporządzenie i nie mam podstaw do odwołania. Nie sądzę...*

— *Odchodzisz od Galewicza, najidealniejszego zwierzchnika i kochanka?* — nierozważnie ujawnił swoje zaciekawienie.

— *Twoja ironia i urojenia są obrzydliwe. Przyznaję, że kilka razy spotkałam się z nim prywatnie i dałam powód do plotek, lecz nigdy nawet nie wyobrażałam sobie, żeby mógł być idealnym kochankiem. Owszem, jest wobec kobiet towarzyski, lecz jako mężczyzna może imponować tylko tej farbowanej Marioli z zaopatrzenia. Dla niej bule elegant to już wielki amant — Gerard Philipe* — zaśmiała się uważając, że to, co powiedziała, było dowcipne.

— *Jeżeli wyłączasz z tej sprawy szefa, to dlaczego odchodzisz do innej instytucji?* — spytał bez większej nadziei, że usłyszy szczerą odpowiedź. Nie wierzył, że bez zerwania z Galewiczem musiała zmieniać pracę. Czy rzeczywiście Galewicz przestał jej już imponować, czy raczej on miał jej dość?

Na moment jakby spoważniała, straciła pewność siebie

— *Wiesz, jaka tam atmosfera. Sam jeszcze w domu skarżyłeś się na koleżeńską uszczypliwość i plotki. Po twoim odejściu ja stałam się ofiarą już nie tylko plotek, ale i różnych rozgrywek. Kiedy dowiedziałam się, że na ostatnim zebraniu dyskutowano o moich zasadach, o Galewiczu i twoim odejściu, miałam już tego dość.*

Zamilkła wyczekująco i prawie pojednawczo spojrzała mu w oczy. Lecz ani ton skargi, ani ciepłe spojrzenie nie złagodziły jego chłodu.

— *Widzisz więc, że nie tylko ty stałeś się ofiarą złośliwości szefowej i jej koleżanek* — mówiła dalej. — *Chociaż nie jestem tak jak ty przewrażliwiona, to jednak postanowiłam przenieść się do innego instytutu. Oczywiście, finansowo nic nie straciłam, moja sytuacja jest inna niż twoja. Przypuszczam, że u radcy zarabiasz niewiele. Poza tym musisz płacić za mieszkanie. Właściwie to nawet nie wiem, gdzie mieszkasz. U ojca za daleko od Łodzi. Jeśli masz trudności z mieszkaniem, to mama chętnie ci odda pokój, nawet gdybyś uważał, że między nami wszystko skończone.*

— *Za bardzo się przy tobie sparzyłem, bym mógł odzyskać wrażliwość na twoje słowa, zmienić skórę i mieszkać w twoim domu* — zauważył z akcentem nieustępliwości. Jeszcze panował nad sobą, lecz jej chęć pojednania, bliska pokory, jakby nieco stępiła ostrość gniewu. Po raz pierwszy nie był pewien czy ta troska o jego warunki życia była fałszywa czy szczera. Wbrew zmysłom narzucił sobie chłód i spokój, ale skorupa obojętności przy następnym spotkaniu mogła pęknąć — pod wpływem uczuciowych chwytów i fizycznego piękna. Halina umiała jednakowo drażnić męską dumę, jak i zmysły. Obawiał się, że będzie odwoływała to, co ich dzieliło, i za zdradę płaciła podwójną namiętnością.

— *Może zmienisz zdanie* — powiedziała łagodnie. — *Przyjdę w przyszłym tygodniu* — patrzyła pytająco z błyskiem obietnic. — *Oczywiście, nie w sprawie rozwodu. Radca chyba będzie wiedział, czy mam prawo do urlopu i jakie rozporządzenie reguluje te sprawy. Z rozwodem możemy poczekać, odwołać się nie tylko do rozsądku. Coś z naszej miłości chyba jeszcze zostało.*

Wstała z krzesła nie spiesząc się jednak z wyjściem. Nie doczekawszy się odpowiedzi, podeszła do biurka jakby z zamiarem podania ręki. Spodziewała się, że spojrzy na jej obiecujący uśmiech, dekoltem odsłonięte piersi i nie oprze się wrażeniu. Szybko opuścił głowę i zaczął szperać w szufladzie. Potem nie podnosząc oczu znad papierów informował, od jakich warunków zależy prawo do wykorzystania urlopu po rozwiązaniu stosunku służbowego. Wyszła bez pożegnania.

Siedział przez chwilę nieruchomo, jakby zahipnotyzowany siłą doznań. Przed nim bielała w maszynie karta z nie dokończoną skargą, a w oczach miał, zmienioną pokorą, twarz żony, lekko odsłonięte piersi i całe jej fizyczne piękno. Zaskoczyła go nie tylko swym przyjściem, ale i wiadomością o zerwaniu z Galewiczem, próbą pojednania i świeżością dawnej urody.

Zamyślił się, sprawdzając intencje, odmierzając realia i pozory. W zachowaniu Haliny mogło być więcej premedytacji niż szczerości. Co zamierzała osiągnąć, przychodząc tutaj? Nie wierzył, że chodziło jej o poradę w sprawie urlopu. W pobliżu ulicy, na której mieszkała, mieściły się dwa biura prawne, nie musiała więc aż tutaj szukać wyjaśnienia sprawy. Jeżeli przyszła do niego, to od kogo dowiedziała się, że pracuje u Orchowskiego? Od Andrzeja? Raczej nieprawdopodobne. Elżbiety i Grzegorza nie znała. Możliwe, że Jola wyśledziła go i rozpowiedziała wszystko w domu teściowej. Wiadomość o zerwaniu z Galewiczem przyjął z pewną satysfakcją. Ale czy rzeczywiście ona miała dość swojego szefa-kochanka? Może Galewiczowa zmusiła męża do zerwania z Haliną i ta, upokorzona, przypomniała sobie o „wyłączonym z serca"? Mogła jednak znaleźć pocieszenie u innego, przecież jej uroda przyciągała spojrzenia zarówno studentów, jak i dobrze sytuowanych podrywaczy. Nie wierzył, że go kochała. Gdyby tak było, postępowałaby inaczej. Prawdopodobnie na razie nie miała partnera. Trochę odczuła nocną samotność i przypomniała sobie, że ma męża. Obawiał się, że potrzebowała go tylko przejściowo. Niezdolna do uczucia, mogła mu zaofiarować erotyczną zabawę. Troska o jego warunki życiowe i obojętność, z jaką mówiła o Galewiczu, mogły być pozorowane. Jeżeli nawet było inaczej, to i tak za lekko chciała uzyskać rozgrzeszenie.

Powoli wyzwalał się spod nieoczekiwanych wrażeń i zamyślenia. Zapalił papierosa i próbował skoncentrować myśli na nie dokończonym piśmie. Musiał napisać skargę, ponieważ klientka, podobnie jak farbiarz, miała zgłosić się w poniedziałek. Wytrącony z toku pracy, pisał wolniej niż przedtem. Często przerywał, szukając długo właściwego słowa. Niektóre fakty nie pozwalały na ostre i krótkie ujęcie. To zwiększało trudności i czyniło skargę nieco rozwlekłą. Dopiero po kilkudziesięciu minutach mógł odsunąć maszynę. Sprawy, którymi się zajmował, już nie przyciągały jego myśli, stawały się zwyczajne i odległe. Zamknął teczkę z papierami i wsunął ją do szuflady. Pomimo że nie miał dzisiaj dużo spraw i klientów, czuł się dziwnie zmęczony i ospały. Do zamknięcia biura miał jeszcze sporo czasu, więc usiadł wygodnie na zniszczonej kanapie i zaczął zastanawiać się nad tym, co minęło i co jeszcze mogły przynieść najbliższe dni.

Pół roku temu sytuacja była tragiczna. Po odejściu od Haliny nie miał dachu nad głową i zajęcia, które pozwoliłoby przetrwać najgorsze miesiące. Przez miesiąc kołował na mrozie między rodzinnym Grabowem a osiedlem studenckim. Dopiero gdy radca zdecydował się przyjąć go do biura, niepewność jutra i depresja przestały obciążać mu głowę. W biurze miał nocleg i zajęcie, które choć mało płatne, dawało sporo satysfakcji. Utrzymując kontakty z kolegami ze studiów wiedział o każdej zmianie i atmosferze w środowisku uniwersyteckim. Spodziewał się, że przy sprzyjających okolicznościach uzyska zgodę na składanie egzaminów dyplomowych.

Potem przypadkowo w sądzie spotkał Elżbietę. Wymienili adresy i po tygodniu spotkali się już w kawiarni. Oprócz lekkiego nastroju było trochę szczerości. Dotychczas znał Elżbietę jako nieosiągalny ideał Jacka i kochankę Wormana. Teraz wiedząc, że myślała tylko o sobie, poznał ją lepiej. Była naturalna, ujmowała wiele spraw realistycznie, lecz bez wyrachowania. Uważała, że jej małżeństwo z Jackiem trwałoby nie dłużej niż przygoda z Wormanem. Jacek nie był jej typem i lubił teoretyzować. Wormana nie kochała, lecz trochę jej imponował. Gdyby go znała lepiej, byłaby ostrożniejsza. Nie wierząc w dozgonną miłość zadowalała się uczuciem przyjaźni. Choć niektórzy mówili, że jest egoistyczna, to nie pozowała na Julię z marmuru. I chyba szczerze zmartwiła się sytuacją, w której się znajdował. Nie spodziewała się, że rok po ślubie jest już bez żony. Porównując ją z Haliną musiał przyznać, że nie miała tak wykoślawionego charakteru jak tamta. Przynajmniej nie była próżna i skłonna do kaprysów. Nie egzaltowała się swoją karierą i małżeństwem. Paliła jego tanie papierosy i bez wyrazu niesmaku zgodziła się pić najtańsze wino. Próbował ją zgorszyć kładąc rękę na jej kolanie, lecz skwitowała to zapewnieniem, że nie zwątpiła w jego śmiałość.

Po miesiącu zadzwoniła ponownie, informując o zmianach w uniwersytecie i nakłaniając go do złożenia podania o pozwolenie na końcowe egzaminy. Od tego czasu widywali się coraz częściej. Trochę dla omówienia jego szansy uzyskania dyplomu, częściowo dla sprawdzenia stosunku wobec siebie i pobudzenia zmysłów. Ostatnio więcej podniecali się spojrzeniami i słowem, niż rozmawiali o uczelni i wydarzeniach kulturalnych. Wspominając, że urlop spędzi z mężem w Bułgarii, proponowała przed wyjazdem „nadzwyczajne spotkanie". Zachowywała się prowokująco i patrzyła mu przeciągle w oczy. Wyglądała jak zniecierpliwiona długą grą partnerka, która odkrywa karty. Była inna niż dawniej, bardziej osiągalna.

Liczył, że jeszcze nie wyjechała i jutro będzie mógł się z nią spotkać. Biuro w sobotę było nieczynne, więc istniały sprzyjające okoliczności. Jeżeli Elżbieta przyjdzie tutaj, to spodziewał się pełnej satysfakcji. Jutro wszystko mogło się zdarzyć, mógł oczekiwać, że Elżbieta będzie nadzwyczajna. Lecz to spotkanie jednakowo pociągało, jak i obciążało. Myślał nie tylko o sobie. Gdyby Elżbieta była żoną jakiegoś bufona lub oszusta, wówczas układałoby się wszystko bez skrupułów. Nie miał jednak pewności, że nie skrzywdzi uczciwego.

Wstał i podszedł do okna. Ulica po poobiednim ruchu stawała się już ospała. Nad zachodnią częścią murów pojawiło się słońce o blaskach łagodniejszych niż południowe. Spojrzał na zegarek. Do szóstej brakowały trzy kwadranse. Prawdopodobieństwo przyjścia jakiegoś interesanta było niewielkie. W kanikule, przy końcu tygodnia godziny dość często upływały na bezczynności. Pomimo to nie spieszył się z zamknięciem biura. W perspektywie miał sporo wolnego czasu — wolną sobotę i niedzielę. Jeśli nie spotka się z Elżbietą, to zostanie mu tylko biblioteka. Jednakże od egzaminacyjnej lektury odciągały zarówno sierpniowe upały, jak i brak odpowiedzi z ministerstwa. Czyż warto było przygotowywać się do dyplomu, nie mając formalnej zgody departamentu? Jeszcze przez chwilę trwał w zamyśleniu, odwoływał się do rozsądku. Nagle odwrócił się od okna i zdecydowanym krokiem podszedł do biurka. Szybkimi ruchami zaczął je oczyszczać z różnych papierów, bloczków, spinaczy. Umieściwszy kasę i maszynę w metalowej szafie, narzucił marynarkę i sięgnął po klucze.

Wyszedł zamykając drzwi na drugi, dodatkowy zamek. „Mamy siódme przykazanie i kodeks karny, lecz na co dzień najważniejsze są zatrzaski i klucze" — przypieczętował biuro ironią. Na ulicy ujrzawszy nadjeżdżający tramwaj, zrezygnował z obiadu w pobliskim barze. Chciał jak najszybciej znaleźć się na dworcu, na którym też mógł kupić coś do jedzenia. *Jeżeli zdążę na wcześniejszy pociąg, to wieczorem będę w Grabowie. Z pewnością przydam się ojcu i może przyszło pismo z ministerstwa* — przewidywał z umiarkowaną nadzieją. Wsiadł do tramwaju i po chwili sprzed jego oczu zaczęły uciekać mury sądu, instytutu i kamienic. Na dwa dni był wolny od obowiązków i pokus.

MUZYKA DLA KAŻDEGO

Dalszy ciąg ze str. 1

stępne na tyle, na ile być powinny. Że — krótko mówiąc — nie zostały zachowane proporcje pomiędzy rozwojem zawodowej strony życia muzycznego a społecznym odbiorem.

— Przypomnijmy, że obrady toczyły się na dwóch sesjach plenarnych i w pięciu równolegle pracujących sekcjach tematycznych (Współczesna twórczość i wykonawstwo, Szkolnictwo muzyczne, Wychowanie muzyczne w szkolnictwie ogólnokształcącym, Społeczny ruch kulturalny oraz Prasa, radio, Tv, wydawnictwa, fonografia). W której sekcji obrady były najbardziej owocne; czy mógłby pan wskazać może nawet na jakieś szczególnie znaczące wystąpienie?

— Na to pytanie odpowiedzieć mi o tyle trudno, że nie dysponuję jeszcze pełnym stenogramem wszystkich dyskusji. Referatów było dużo, prawie 70 różnych wystąpień; każde z nich miało swoją rację i swoją wagę. Z mojego punktu widzenia niezwykle istotne znaczenie miała wypowiedź dr Elżbiety Dziębowskiej, która mówiła o roli nauki w upowszechnianiu muzyki. W świetle tego referatu bardzo wyraźnie zaznaczyła się nasza bezradność, jeżeli chodzi o poznanie otaczającej nas rzeczywistości muzycznej. Po prostu, w Polsce nie prowadzi się, jak dotąd, prawie żadnych badań w tym zakresie i bardzo wiele z tego, co robimy, opiera się wyłącznie na intuicji, na wyczuciu, na domyśleniu się. Myślę, że powinno to się jak najszybciej zmienić.

— Czy sądzi pan, że wnioski i postulaty będą miały szansę pełnej realizacji? A może niektóre zaczęto już realizować?

— Ostateczne wnioski wypływające z kongresu, tak, jak je w tej chwili widzimy, są w większości przemyślane i nie znajduję powodów, dla których nie miałyby zostać wcielone w życie. Zresztą klimat ich realizacji jest bardzo przychylny. Odnosimy wrażenie, że władze w ogóle z wielką powagą podeszły do kongresu i możemy z satysfakcją podkreślić, że już obecnie kilka postulatów zostało spełnionych. Stale powracająca sprawa powiększenia limitów przyjęć na wyższe uczelnie muzyczne została od ręki załatwiona przez ministra szkolnictwa wyższego; pierwszą tegoroczną decyzją ministra kultury i sztuki „Polskie Nagrania" otrzymały studio nagraniowe; w styczniu zaczęto przygotowywać fundamenty pod nową tłocznię płyt. Jest nadzieja, że i dalsze wnioski będą załatwiane pozytywnie.

— Które z nich są szczególnie pilne?

— Palącą sprawą jest np. papier dla PWM. Dramatyczna sytuacja na rynku wydawniczym sprawiła, że z listy tytułów, które powinny być stale dostępne w sklepach, brakuje 70 proc. Jest już, na szczęście, obietnica przydziału pewnej dodatkowej ilości papieru, żeby ten stan poprawić. Wniosek do rozpracowania — bardzo ważny i stale się powtarzający: obecność muzyki w szkole ogólnokształcącej, m. in. w klasie IX i X dziesięciolatki. Pisał o tym ostatnio w „Kulturze" Witold Rudziński. Dalej — problem kadry w szkolnictwie ogólnokształcącym i zawodowym, również palący, gdyż niedobór w tym zakresie jest ogromny i z roku na rok pogłębia się. Z kolei wnioski dotyczące programu radia i telewizji. Wiadomo, jakie są odczucia środowiska w tym względzie, ile było uwag krytycznych. Z satysfakcją trzeba stwierdzić, że na niedawnym spotkaniu w KC zostaliśmy poinformowani o wynikających z wniosków kongresowych planach radia i TV, dotyczących znacznego powiększenia ilości godzin muzyki poważnej na antenie PR oraz nowych cykli audycji muzycznych w telewizji.

— Jaki obraz życia muzycznego w naszym kraju wyłonił się w świetle kongresu?

— Przed kongresem sporządziliśmy „mapę muzyczną" Polski, opierając się na materiałach nadesłanych przez wydziały kultury 44 województw. Zdajemy sobie sprawę z tego, że nie są to materiały pełne. Nie podjąłbym się zatem w tej chwili głębszej analizy tego problemu, mogę tylko powiedzieć, że „infrastruktura" muzyczna kraju jest nadal bardzo nierównomierna. Nie należy jednak wysnuwać z tego wniosku o automatycznym powoływaniu instytucji muzycznych w nowo powstałych województwach, raczej o lepszym wykorzystaniu istniejącego potencjału.

— Udział młodych w kulturze muzycznej. Ten problem wiąże się z przyszłością naszej kultury narodowej...

— I ta sprawa jest w centrum zainteresowania. Chodzi tu m. in. o możliwości zawodowe absolwentów szkół muzycznych. Przede wszystkim wspomnieć jednak trzeba o muzyce w szkole ogólnokształcącej i — wcześniej — w przedszkolu nawet. Mamy tu jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Poza postawieniem na odpowiednim poziomie lekcji wychowania muzycznego w szkołach, dotyczy ta sprawa filharmonii i innych instytucji organizujących audycje umuzykalniające, dotyczy organizacji młodzieżowych: harcerstwa i ZSMP i, oczywiście, środków masowego przekazu. Nie dotrzemy z wartościową muzyką do młodzieży, jeżeli nie zdobędziemy sojuszników w radiu, prasie, „Polskich Nagraniach". Musi nastąpić tutaj wspólne rozumienie celu i ustalenie środków, jakimi do tego celu powinniśmy zmierzać. Zdarza się bowiem obecnie, że to, co jedni zbudują, inni burzą. Nikt na kongresie nie występował np. przeciwko muzyce rozrywkowej, muzyce młodzieżowej. Są to fakty kulturowe, których negować nie można. Natomiast kwestia proporcji między tą właśnie muzyką a inną, kwestia sposobu podania, sposobu komentowania tej muzyki, budzić może u nas niepokój. Środki masowego przekazu muszą pamiętać, że mają ogromną możliwość modelowania smaku m. in. młodego odbiorcy.

— Skoro już wspomnieliśmy o prasie...

— Pozwolę sobie wypowiedzieć pogląd, że naszej obecnej publicystyce muzycznej brakuje pewnej równowagi treściowej; nie widać, by obejmowała ona rzeczywiście całokształt problematyki życia muzycznego. Jeżeli uświadomimy sobie z kolei, jak dużym jesteśmy narodem i jak rozwinięte mamy życie artystyczne, to z pewnością na nadmiar prasy muzycznej, nie będziemy mogli narzekać. Abstrahując już od projektów, należałoby też pomyśleć o lepszym wykorzystaniu istniejących periodyków, przez co rozumiem zarówno zwiększenie objętości i częstotliwości ukazywania się, jak może i ewentualne dopracowanie profilu.

— Czy następny kongres za... kolejnych 35 lat?

— Choć nie było o tym na razie mowy, to jednak myślę że wcześniej. Być może, że — powiedzmy — za pięć lat warto by zorganizować podobne spotkanie.

Rozmawiał: JANUSZ JANYST

FILM

SZANSA

Naczytawszy się pierwej wielu relacji z ostatniego gdańskiego festiwalu polskich filmów fabularnych oraz bardziej lub mniej wnikliwych analiz filmów tam pokazywanych, tzw. szeroka publiczność musiała uzbroić się w cierpliwość i czekać na czas w którym dystrybutor pozwoli porównać euforyczny ton profesionalnych wypowiedzi z własnymi doznaniami. W międzyczasie fala najgoretszych dyskusji minęła w gruncie rzeczy w sam jej środek trafili jedynie Aktorzy prowincjonalni" Agnieszki Holland nawet sztandarowe najdoskonalsze dokonanie tego nurtu czyli film „Amator" Krzysztofa Kieślowskiego musiał poczekać w kolejce na czas swej premiery.

W pół roku po festiwalowym sukcesie („Brązowe Lwy Gdańskie" za najlepszy scenariusz i nagroda za role dla Jerzego Stuhra) wszedł na ekrany kolejny film z grupy gdańskich laureatów. Mowa o „Szansie" Feliksa Falka — scenarzysty i reżysera tego filmu.

Warto tu przypomnieć że autor „Szansy" jest reżyserem który każe o rok cofnąć początek nurtu kina młodych naszych twórców, z którego jesteśmy w ostatnich miesiącach tak dumni. Feliks Falk jako reżyser „Wodzireja" tym właśnie filmem rozpoczął owa podobna w tonacji i intencji falę moralnych dyskusji podobna na tyle że poszczególne jej głosy dopełniając się nawzajem stanowią pewna zbiorowa manifestacje pokolenia. Samotny dotąd Krzysztof Zanussi znalazł komparsów których wypowiedzi naznaczone dziś jeszcze może zbyt silnie publicystyczna głównie intencją, dopowiadają jednak rzeczy ważne do tego co w utworach Zanussiego miało swój głębszy, uniwersalny i egzystencjalny sens.

Krzysztof Zanussi nie ucieka jednak także od znaczących realiów naszego społecznego życia najsilniej dał temu wyraz w „Barwach ochronnych" Feliks Falk zrealizował „Szansę". Zestawienia obu tych tytułów nie dokonuje tu bez przyczyny. Tak jak w swoim czasie „Barwy ochronne" szczególnie poruszyły środowisko akademickie, tak dziś „Szansa" najsilniejszym echem odbije się (czego jej życzyć należy!) w środowisku szkolnym.

Akcja obu filmów toczy się bowiem tam, gdzie sprawy etyki prześwietlane są najostrzej, tam, gdzie miara wartości człowieka nie jest, a przynajmniej nie powinna być, ilościowa efektywność jego pracy, tam, gdzie w powszechnym odczuciu tworzy się potencjał jakości tyle samo niewymierny, co dramatycznie wyczuwalny w każdym drgnieniu mechanizmów społecznego życia.

Sądzę więc że ani Krzysztof Zanussi ani Feliks Falk wybór środowiska nie dokonali przypadkowo mimo że sensy obu filmów daleko przekraczają terytorialne granice akcji. Świat nauki i akademii jest przez Zanussiego penetrowany konsekwentnie świat szkoły znalazł w polskim filmie pierwszy swój naprawdę poważny wizerunek dopiero w „Szansie" Feliksa Falka.

Można o filmie tym mówić w oderwaniu od realiów którymi się posługuje. Mogę nawet przypuszczać że jego autor przedstawione w nim problemy mógłby rozważać w kontekście spraw którymi żyją inne środowiska tak jak to zrobili jego koledzy. O postępowaniu niezgodnym z etyka zawodową i o ignorancji w zakresie podstawowych zasad swej profesji o wykorzystywaniu swego stanowiska dla realizacji li tylko własnych, prywatnych ambicji, o tendencjach manipulacyjnych o konfrontacji racji moralnych wyższego rzędu z cynizmem życiowym o uwikłaniach zależnościach podwładnego od instancji wyższej oraz o postawach aktywnych i konformistycznych można mówić oczywiście analizując te różne środowiska Feliks Falk wybrał jednak szkołę — nauczyciel i ich wychowanków a jako zostało to powiedziane wyżej ma to swój sens i swoją wartość szczególna.

Nie sądzę, aby personalnie stan nauczycielski poczuł się obserwacjami i wymowa „Szansy" dotknięty. To co zdarzyło się tam w szkole mogło się zdarzyć wszędzie. W świecie szkoły zarysowane problemy które film ten rozważa, nabierają jednak wyjątkowej ostrości.

Pojawia się przy tym w „Szansie" problem który w szkole i tylko w szkole dostrzec można w pełnym jego wymiarze. Każdy człowiek dorosły może się znaleźć w sytuacji w której poczuje się osaczony i bezbronny. Mając tego świadomość będzie jednak w szczególny sposób silny nie pozbawiony szansy wyboru. Bezbronność młodego człowieka polegająca na tym, że poddany jest manipulacjom przez niego nie rozpoznawalnym oraz płynąca z faktu tego odpowiedzialność świata dorosłych jest jak się wydaje, centralnym tematem filmu „Szansa".

Dlatego też nie interesują mnie inne sensy utworu Feliksa Falka, jest on dla mnie przede wszystkim filmem o szkole i o systemie wychowawczym. Ów w przedstawionej opowieści sprawiedliwy czyli nauczyciel historii grany przez antywodzireja Jerzego Stuhra mówi w pewnym miejscu filmu: „Uczmy ich wybierać" i są to najważniejsze słowa które z ekranu padają mówią one o szansie która każdy człowiek powinien posiadać a więc i ten będący u progu dorosłości. Wówczas bowiem kształtuje się osobowość określająca całe późniejsze życie.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

ZWYKŁY TYDZIEŃ

Rzeczywiście był to jeden z najzwyklejszych tygodni w TvP; nie ma w tym zdaniu ani przygany (czy można krytykować to, że Ziemia obraca się wokół Słońca?), ani tym bardziej pochwały (czyż jest coś wyjątkowego w zasadzie ruchu jednostajnego?). Po prostu stwierdzenie faktu. Kończył się wprawdzie karnawał, co telewizja skwitowała obrazkami takimi, jakie oglądamy od lat — upieczono tyle to a tyle tysięcy pączków, a na ulicach pojawili się „przebierańce" — ale jakiż w tym ewenement.

Obchodziliśmy 170 rocznicę urodzin Fryderyka Chopina. Z tej okazji „popłynęły z Żelazowej Woli na anteny radiowe i telewizyjne dźwięki jego wspaniałej muzyki" w konwencjonalnym aż do przesady programie w czwartek 21 lutego.

Obchodziliśmy także 86 rocznicę urodzin Jarosława Iwaszkiewicza. To wydarzenie zainspirowało Scenę Współczesną Teatru Telewizyjnego (ostatnio prym wiodła klasyka) w którym przyszło nam oglądać manieryczną, a przez to pustą i pseudopoetycką adaptację „Opowiadania z kotem" w realizacji Krzysztofa Rogulskiego.

Obejrzeliśmy, jak co tydzień, publicystyczno-kulturalna haute-couture, czyli magazyn „Pegaz", w którym Jan Świderski śpiewał songi z „Opery za trzy grosze", a jedna z redaktorek dopytywała się co się stało z Syrenką, którą kieryś raczył był wykonać węglem sam Picasso. Pisze często o „Pegazie", bo jak wielu z telewidzów często go oglądam. I najczęściej — sądzę, iż również jak u wielu z telewidzów — moja opinia jest krytyczna. Bo, po pierwsze, ulubionym tematem redakcji magazynu są kulturalno-artystyczne ciekawostki, po drugie, prezentowane w „Pegazie" złomki dyskusji i monologów recenzenckich są zaledwie markowaniem rzeczywistej problematyki, bo, po trzecie, publicystyczne alarmy (np. w sprawie kin, repertuaru współczesnego w teatrze, organizacji widowni teatralnej w kilkuminutowych migawkach rozmywają swoje społeczne funkcje. Bo, po ostatnie wreszcie, „Pegaz" — choćby tak jak „Camerata" — powinien w możliwie najszerszym zakresie uczestniczyć w tym, co w kulturze polskiej jest charakterystyczne, ważne i aktualne. I nie bacząc na to, iż mogę być ubrany w prowincjonalne kompleksy powtórzę: w kulturze polskiej, a nie warszawskiej.

W tym tygodniu również obejrzeliśmy drugą audycję z nowego cyklu „Trybuna literacka". Pisałem kiedyś (aż do znudzenia?) o braku w tv problematyki literackiej, o tym, że jedyna audycja z tego zakresu „Kształt słowa" nie wypełnia istniejących zapotrzebowań, że literatura, książka, krytyka literacka została zepchnięta w TvP na odległe marginesy. No i mamy właśnie „Trybunę literacką". Czy audycja ta przedstawia jednego z setek pisarzy w Polsce, czy jest forum dyskusji krytyków o najnowszych książkach Putramenta, Zalewskiego, Broszkiewicza czy Bilińskiego, czy wprowadza w czytelniczy obieg nowy tomik Jerzego Harasymowicza, czy jest polemiką na temat nowych przekładów Szekspira dokonanych przez Macieja Słomczyńskiego? Tego rodzaju pytaniami, bynajmniej nie retorycznymi można byłoby zapełnić przynajmniej pół numeru „Odgłosów". „Trybuna literacka" (scenariusz i prowadzenie Aleksander Wieczorkowski) powiela zgrany do szczętu w TvP pomysł: przy okrągłym stoliku zasiadł Zygmunt Kałużyński i Jerzy Adamski i prowadzą rozmowę (żeby to była rozmowa!) na temat „czy literatura wypełnia współczesne potrzeby moralne". Zaprogramowana polemika (a jej imię demagogia) i zaprogramowane osobowości. Zatem samograj. Jeszcze fragment z „Frankensteina" jako przykład, iż kino, a nie literatura, odpowiada na „dręczące problemy naszej współczesności", bo porusza temat przeszczepów i sztucznego zapłodnienia (nic nie zmyślam). Zdaję sobie sprawę z tego, iż są to typowe, pana Zygmuntowe egzageracje, nawet je lubię, ale w „Trybunie literackiej" chciałbym posłuchać czegoś o literaturze. Zbigniew Zapasiewicz czytał w audycji fragmenty z poematu T. S. Eliota pod tytułem „The Hollow Men" co się przekłada jako „próżni" lub „wydrążeni ludzie". Tu swoją wypowiedź zakończę.

Finałem tygodnia był program sobotnio-niedzielny. Najpierw „Studio-8" ze swoim zwykłym programem z niekiedy niezwykłą polszczyzną Bronisława Cieślaka (np. „program przesyłany w trybie wymiany", „uwagi odnośnie karmienia" etc.) oraz z dobrą publicystyką (sprawa giga-cukierni w Gdańsku i innych miastach, film Jadwigi Wileńskiej „Józio Herkules", rozmowy z doc. Afeldowiczem).

Potem blok „Tylko w niedzielę". Od czasu gdy program ten emitowany jest również w dwójce można by powiedzieć, że ilość przeszła w jakość. Ale i to winno być zwykłą troską nie tylko telewizji.

Na koniec niedzieli Jacek Fuksiewicz zemocjonował pół Polski wiadomością o drugiej serii „Pogody dla bogaczy". Pomysł audycji („Pytania i odpowiedzi") w której szef Naczelnej Redakcji Filmowej TvP odpowiadając na pytania krytyków miał okazję nieco szerzej opowiedzieć o pracy swojej redakcji — godny powielenia. Niechaj i inni redaktorzy naczelni skorzystają z tego pomysłu czym prędzej.

GRZEGORZ GAZDA

POEZJA

„CZTERDZIESTA JESIEŃ"

Wydany ostatnio tomik wierszy Jerzego Wilmańskiego **Czterdziesta jesień** zawiera wiersze nowe i te, które znamy z wcześniejszych książek poety, więc z **Poematu niedoskonałego, Obrony krajobrazu, Odlotu**, czy ze zbiorku **Tylko słowa.**

Poeta w najnowszym tomie zdecydował się przedrukować wiersze najdobitniej świadczące o konsekwencji obranej przed dwudziestoma laty drogi.

Utwory Wilmańskiego, te stare i te nowe, wiąże przeświadczenie o niemożliwości wszelkiego spełnienia, niemożliwości przeżycia pełnego szczęścia, niemożności zrealizowania najbanalniejszych, zdawałoby się, marzeń. Otwierający książkę wiersz **Gdzie jest ten chłopiec** stanowi jak gdyby do niej motto:

Gdzie jest ten chłopiec i co się z nim stało
Gdzie sprzedał, gdzie zgubił dziecięce marzenia
(...)
Coś się rozsypało i coś się rozwiało
Coś wypaliło się w smugi cienia.

Przemijanie, choroba, lęk przed teraźniejszością i przyszłością — to obsesje stanowiące o meritum większości utworów poety. Zdaje sobie on jednak sprawę z pewnego skrzywienia cechującego ludzką pamięć. Teraźniejszość nas poraża, w teraźniejszości jesteśmy nieszczęśliwi, przeżywamy niepowodzenia, zwątpienia i klęski. Spokojna i pogodna jest natomiast przeszłość. Przeszłość — czyli onegdajsza teraźniejszość.

Młodość Wilmańskiego — to lata ZMP, stąd wyrażony w licznych wierszach sentyment do organizacji uczącej, jak żyć, aby czuć się użytecznym i, przede wszystkim, potrzebnym.

Dzieciństwo poety — to lata wojny. Wojna w ujęciu Wilmańskiego była próbą charakterów i jednocześnie podstawową determinantą losów jego generacji.

Jeden z najciekawszych, poświęconych wojnie, wierszy poety, **Rozmowa z kombatantem**, zrodził się z inspiracji **Rozmowy z weteranem** Lechonia Bohater wiersza Wilmańskiego w odróżnieniu od Lechoniowego powstańca nie mitologizuje jednak swoich przeżyć. Żołnierz I Armii pamięta „Komary nad Oką", nie zaś witający polskich Odyseuszów napis „Witaj żołnierzu — tułaczu", ba, nie pamięta nawet ataku na Pauzuchy i Trygubowo:

Czytałem o tym — powiedział
— ja tylko pamiętam przymrozek
gruda rozcięła mi czoło
kiedy upadłem pod serią

Nieprawda — mówię — nie gruda
zmyśliłeś tamte komary
to przecież była Historia

Czytałem o tym — powiedział
Ja miałem dwadzieścia lat
i chciałem wrócić do domu.

O ile, jak się rzekło, na przeszłość, nawet tę najokrutniejszą, patrzy Wilmański z pewną mgiełką rozrzewnienia, o tyle poraża go współczesność, więc konsumpcyjny stosunek do świata, obojętność wobec ludzkiej samotności i ludzkiego cierpienia, niemożność porozumienia się ludzi najbardziej sobie bliskich.

Dziewczyna z Honoratki, bohaterka jednego z wcześniejszych wierszy poety (1958), mimo że owych pragnień nie realizuje, marzy o wielkich przeżyciach, dalekich podróżach, cudownych wypadkach i zdarzeniach, egzotycznych krajach. Kobiety z dojrzałych wierszy poety są już owych tęsknot pozbawione, mają natomiast świadomość, iż w jakimś tam, mniejszym lub większym stopniu, zaprzepaściły swoje życiowe szanse, że ominęło je coś, na co czekały i w co wierzyły.

Wilmański zastanawia się nad funkcją i zadaniami poezji w dzisiejszym, jakże trudnym dla niej czasie. Wierzy w poetycką nośność słowa pod warunkiem naturalnie, że będzie precyzyjnie oddawało przemyślenia poety:

Chciałbym, ażeby słowo znaczyło dokładnie
to, co ma znaczyć. A nie to, co na dnie
drugim i dziesiątym. By znikły pokłady
słów spiętrzonych tylko od parady
(Słowa III)

Zwolennik metafory przeźroczystej, wiersza klarownego, operującego wzruszeniem i do wzruszeń się odwołującego — polemizuje ze zwolennikami hermetycznego spiętrzenia metafor oraz ze zwolennikami poezji estetyzującej.

Nowy tomik Wilmańskiego będzie bliski tym wszystkim, którzy opowiadają się za poezją osadzoną w realiach teraźniejszości, odwołującą się do powszechnych stanów i przeżyć, usiłującą zburzyć mur, jaki dzieli człowieka od człowieka.

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

Jerzy Wilmański, Czterdziesta jesień. Łódź 1979. Biblioteka Poetycka.

Dalszy ciąg ze str. 1

nii metro, z wagonami na ogumionych kołach, z setkami bezbłędnie działających i nigdy nie psujących się automatów. Ma hotele, w których, jeśli gość wyjmuje ze swej pokojowej lodówki butelkę coca-coli lub puszkę piwa, to jednocześnie cena napoju zostaje dopisana — za pośrednictwem systemu komputerowego — do jego rachunku hotelowego. Ma wreszcie podziemne dzielnice handlowe, których zaopatrzenie i organizacja zapierają dech w piersi przybyszom z San Francisco lub Los Angeles.

A samo Hokkaido — otoczone Morzem Japońskim, Ochockim i Pacyfikiem — to prawdziwy, choć jeszcze nie doceniony raj turystyczny. Wybrzeże Ochockie, pokryte krzewami kwitnących dzikich róż, przyjeżdża w czerwcu i lipcu podziwiać japońska rodzina cesarska. Dzika przyroda, góry, dziewicze lasy, czynne wulkany, gorące źródła, jeziora z najbardziej przeźroczystą na świecie wodą są tak malownicze, że obejrzenie ich jest marzeniem każdego Japończyka z Honsiu lub Kiusiu.

W jeziorze Akan są jedyne w świecie rośliny „Maribo" — miękkie, mechate, zielone kule. Rosną bardzo wolno. Większe, o średnicy 10—15 cm, mają po kilkaset lat. Według wierzeń Ajnów, w pierwsze dwie kule zaklęte zostały dusze chłopca i dziewczyny zakochanych w sobie, a rozdzielonych z woli rodziców.

I my z tym wszystkim musimy się pożegnać. Żegnamy się z wieloma przyjaciółmi, wymieniając ukłony i — tym razem — chyba szczere uśmiechy. Jeszcze tylko ostatni bankiet — po konferencji naukowej. Główna pozycja menu, to najmodniejsza tu potrawa, „Dżingis Chan". Każdy z dwóch biesiadników siedzących vis a vis ma do swojej dyspozycji mały piecyk ze stożkowym rusztem, ogrzewanym węglem drzewnym. Na ten ruszt nakłada się samemu, pałeczkami, cienkie plasterki tłustej baraniny, kawałki cebuli — a później macza się usmażone kąski w miseczce z sosem sojowym „shoju". Do tego młoda, słodziutka, też opiekana na ruszcie kukurydza oraz marynowane warzywa. I wreszcie piwo — tyle kufli (za tę samą cenę), ile zdoła się wypić w ciągu dwugodzinnej biesiady. Królewska uczta. Żegnaj Sapporo.

2.

W Tokio jest zupełnie inaczej. Czujemy się zagubieni w tłumie wypełniającym ulice, stacje metra, autobusy i podmiejskie pociągi. Tak samo będzie w Yokohamie, Nagoyi czy Osace. Trudno się dziwić, przecież na skrawku lądu o powierzchni naszych Mazur, żyje tu kilkadziesiąt milionów ludzi. Wieczorem spotyka nas rozczarowanie. Wspaniałe iluminacje, świetliste kule, ruchome kolorowe ściany reklam, zredukowane zostały do skromnego minimum. I tu trzeba oszczędzać energię.

W Tokio byliśmy na targu rybnym — podobno największym na świecie. Wybraliśmy się tam skoro świt, bo właśnie wtedy świeżo złowione ryby dostarczane są do hal, rozciągających się na przestrzeni setek metrów. Pomiędzy stoiskami setki pasaży, tworzących prawdziwy labirynt. Ruch i hałas — ogromny: wózkarze rozwożą ryby, sprzedawcy natychmiast obkładają je kawałkami lodu, segregują, ćwiartują większe sztuki. A jest co ćwiartować: przy tuńczykach długości 2—3 metrów i średnicy dobrze ponad pół metra schować się może spory cielak. Nierzadko trafia się i rekin, którego płetwy są jednym z tutejszych przysmaków. W oczach się mieni od kolorów i kształtów przedziwnych stworów, które Japończycy wyławiają z morza. Nie znane nam

zielone ryby z rubinowymi oczami, czerwone ośmiornice, kraby, narodowy przysmak — wielonogie „cattle fish", krewetki, małże itp. Trudno uwierzyć, że wszystko to naprawdę żyje w morzu. Sprzedawcy przekrzykują się zachwalając towar, ryby rzucają się w basenach, w skrzynkach drgają i falują macki, wąsy, nogi, szczypce i płetwy. Wychodzimy na wpół ogłuszeni. A przecież widzieliśmy zaledwie niewielką część rybnego targu.

3.

W Nagoji wielki przemysł. Ulokował się tu m.in. koncern Mitsubishi produkujący wszystko, poczynając od akceleratorów elektronowych a kończąc na supertankowcach. W Nagoyi są też linie produkcyjne Mitsubishi, które opuszczają samochody zalewające rynku europejskie i amerykańskie. Ale my decydujemy się na zwiedzenie zamków, które kiedyś stanowiły siedzibę szogunów i wiernych im samurajów.

Szogun (naczelny dowódca wojskowy), był tylko formalnie podległy cesarzowi. W praktyce sprawował absolutną władzę wojskową i stąd rządy wielu szogunów przeszły na trwałe do japońskiej historii. Zamki szoguńskie rozrzucone są po całym kraju. Jednakże do naszych czasów zachowało się bardzo niewiele oryginalnych drewnianych budowli. Większość spłonęła — niektóre w czasie ostatniej wojny. Zamek w Inuyamie, tuż pod Nagoyą, jest najstarszy w Japonii i jakimś cudem ocalał, zaś zamek w samej Nagoyi, wprawdzie zrekonstruowany, jest za to największy. Są to z reguły wielopiętrowe budowle w kształcie pagody. W środku muzea: stroje i zbroje samurajów, ozdobne parawany, naczynia stołowe i sprzęty.

Wieczorem jesteśmy zaproszeni na obiad „szabu-szabu". Na stole, na gazowym palniku ustawiony jest kociołek z wrzącą wodą, do którego kelnerka na naszych oczach dodaje przyprawy i jarzyny. Później przynosi ogromny półmisek z cieniutko krajanymi, niemal przezroczystymi płatkami wołowiny. Taki płatek chwyta się pałeczkami i zanurza „wiosłującym" ruchem na kilka sekund do wrzącego wywaru. Po tym, jak zawsze, macza się „sparzone" mięso w chłodnym „shoju". Pyszności!

4.

Z wizytą w Kioto mamy wyjątkowe szczęście. Dawny pałac cesarski (stolica została przeniesiona z Kioto do Tokio dopiero w XIX wieku) jest dostępny dla turystów tylko raz w roku na okres około tygodnia. I właśnie na ten tydzień trafiamy.

Budynki pałacowe, wszystkie drewniane i parterowe, rozrzucone są na dużym terenie wśród tak ukochanych przez Japończyków ogrodów skalnych, stawów, strumyków, uroczych zakątków ukrytych wśród bujnej roślinności. Główny pawilon składa się z 4 skrzydeł obramowujących obszerny kwadratowy plac. W jednym z nich na podium umieszczone są trony rodziny cesarskiej, która zapewne stąd obserwowała uroczystości czy może walki samurajów. W dalszych pawilonach manekiny ubrane w dworskie stroje obrazują dawne życie pałacowe. Jest więc cesarska orkiestra z tradycyjnymi instrumentami (np. 13-strunowe koto), jest pawilon medytacji i świątynia. Pawilony wyglądają skromnie jak na europejskie wyobrażenia, ale pamiętać trzeba o tutejszym klimacie (Kioto jest podobno najgorętsze na Honsiu), no i oczywiście o trzęsieniach ziemi.

Prosto z pałacu jedziemy do słynnej w Kioto świątyni Szinto: Heian. I znów pięknie utrzymane ogrody a wśród nich budynki świątyni w charakterystycznym czerwono-brunatnym kolorze minii.

Z kultami religijnymi w Japonii sprawa jest szczególnie zawikłana. Dwa główne: buddyzm i szinto (ten ostatni jest religią „państwową" wyznawaną np. przez rodzinę cesarską), nie są ostro rozgraniczone i wielu Japończyków z powodzeniem oscyluje pomiędzy jedną i drugą wiarą. W każdym jednak przypadku religia jest tu nastawiona na sprawy doczesne, stanowi zbiór wierzeń i przepisów — często zakamuflowanych subtelnymi przenośniami — uczciwego, szczęśliwego życia. Rozmawiamy o tym z miłym i bardzo wybitnym profesorem oprowadzającym nas po Kioto. Opowiada nam o licznych świętach religijnych, festiwalach, barwnych korowodach i kultach zwierząt (np. szczególnie rozpowszechnionym kulcie lisa) a także o obrzędach pogrzebowych i śmierci, która nie jest tu przyjmowana równie tragicznie, jak u nas.

W końcu zadajemy pytanie, które cisnęłoby się na usta każdego Europejczyka: co, według zasad chinto, oczekuje wyznawców tej wiary po śmierci? Profesor jest wyraźnie skonfudowany. Chwilę myśli i odpowiada: „Wiecie państwo, nad tym to ja się nigdy nie zastanawiałem".

5.

Hiroshima. Pierwsze kroki kierujemy do muzeum pamięci ofiar bomby atomowej. Tyle się już słyszało o tragedii tego miasta, a jednak nie można się oprzeć wstrząsającemu wrażeniu oglądając fotografie kobiet z płonącymi włosami i topiącymi się paznokciami (o setki metrów od epicentrum wybuchu) lub schody kamienne z cieniem siedzącego człowieka. Został z niego dosłownie tylko cień, na zawsze utrwalony w kamieniu.

W sąsiedztwie muzeum park pokoju, kiedyś gęsto zabudowane centrum miasta. Wiecznie płonący znicz, łuk pamięci, liczne pomniki — przypominają o gehennie mieszkańców tego miasta. Na drugim końcu parku ruiny jedynego gmachu, który oparł się wybuchowi. Ten kopulasty, chyba najbardziej na świecie obfotografowany budynek, był kiedyś siedzibą władz miasta. Ocalał, bo znajdował się dokładnie pod epicentrum wybuchu i to uchroniło go przed działaniem bocznej fali uderzeniowej.

Wokół muzeum i parku pokoju wielkie, nowoczesne, tętniące życiem miasto. Trochę przypomina nam Sapporo.

Hiroshima słynie przecież z lokalnej „sake" (coś w rodzaju ryżowego wina) oraz z najlepszych w Japonii „owoców morza" — krewetek, krabów, ostryg. Idziemy więc do nadmorskiej restauracji na „tempurę" (smażone krewetki, ryby, itp. z ryżem i przyprawami), którą popijamy ciepłą (40 st. C) sake podawaną w wąskich dzbanuszkach. Męczy nas tylko obowiązkowe „klęczenie" na matach przy niziutkim stoliku. Ku radości Japończyków wiercimy się, starając dyskretnie rozprostować drętwiejące nogi.

6.

Następnego dnia jedziemy promem na wyspę Miyajima z najsłynniejszym chyba w Japonii „shrine'm" shinto. Symboliczna „brama" świątyni Torii tkwi w morzu i w całości wyłania się z niego jedynie w czasie odpływu. Wizerunek tej bramy oglądać można w całej Japonii na tysiącach pamiątkowych pocztówek i drukowanych serwetek. Ma on również symboliczną wymowę jak obraz wschodzącego słońca, kwitnącej wiśni czy japońskiego żurawia. Pawilony sanktuarium zbudowane są na pomostach, sięgając głęboko w morze. Rzeczywiście trudno wyobrazić sobie bardziej malownicze położenie świątyni z jednej strony otoczonej morzem wewnętrznym, z drugiej osłoniętej górzystym, pokrytym bujną roślinnością brzegiem.

Sama wyspa — park narodowy Miyajima — też warta jest zwiedzenia. W jej lasach roi się od zwierząt, przede wszystkim saren i małp, całkiem oswojonych i swobodnie spacerujących wśród grupek turystów. Kolejką linową wjeżdżamy na szczyt sporej góry w środku wyspy. Stąd — jak zapewnia nasz przewodnik — roztacza się najwspanialszy w całej Japonii widok. Oglądamy morze wewnętrzne, „inland sea", pokryte setkami małych wysepek. Z jednej strony widać główny ląd Honsiu, z drugiej dalekie i mgliste brzegi, czwartej co do wielkości — spośród głównych wysp Japonii — Shikoku.

Niektóre wysepki morza wewnętrznego są zamieszkałe, pływają między nimi promy i kutry rybackie. Przez lornetkę widzimy także cienkie pasemka traw, używanych do sztucznej hodowli małży. To stąd właśnie pochodzą morskie smakołyki, które próbowaliśmy wczoraj wieczorem. Na metalowej balustradzie, tuż koło nas, usadowiła się wielka małpa. Sarna bezceremonialnie obwąchuje postawione przez nas na ziemi torby.

7.

To nasz ostatni dzień w Japonii. Zbliża się zachód, czerwienieje morze wokół świątyni, skrzą się w słońcu zielone wysepki, a brzegi Honsiu spowija ciemniejący „smog". Przedziwny kraj. Konglomerat imponującej techniki, najbardziej ekspansywnego w świecie przemysłu z tradycjami, które w niezmienionej formie przetrwały setki lat.

BARBARA I JERZY KROH

Jerzy Kroh — profesor doktor habilitowany, członek korespondent PAN, dyrektor Międzyresortowego Instytutu Techniki Radiacyjnej Politechniki Łódzkiej wraz z żoną Barbarą przez pół roku przebywał w Japonii, gdzie wykładał na uniwersytecie w Sapporo.

W RFN notuje się coraz liczniejszy napływ nielegalnych robotników cudzoziemskich. Powstały całe przestępcze gangi, zajmujące się przemytem ludzi, zwłaszcza z krajów azjatyckich. Wielu spośród tych cudzoziemców — często analfabetów — jest brutalnie wyzyskiwanych przez nielegalnych pośredników, od których są całkowicie zależni. Policja mówi o **nowoczesnym handlu niewolnikami.**

Artykuł na ten temat przytaczamy (ze skrótami) za tygodnikiem DER SPIEGEL.

NOWOCZESNY HANDEL NIEWOLNIKAMI

Podróż Hindusa. Kewala Kriszana, przebiegła jak po maśle. W Katmandu, stolicy himalajskiego królestwa Nepalu, wpłacił jednemu ze swych ziomków 10 tysięcy rupii i przez Bangkok poleciał samolotem do Berlina wschodniego. Stamtąd — wciąż legalnie — przedostał się do Berlina zachodniego. Samolotem amerykańskich linii Pan Am przybył do Frankfurtu nad Menem, gdzie... poprosił o azyl polityczny.

Organizatorem tej podróży i tym, który ostatecznie zainkasował pieniądze, był — według zeznań Kriszana — niejaki Rajinder Kumar, który już cztery lata temu wyjechał do RFN, także prosząc o azyl polityczny. Tam Kumar, zwany w kołach emigranckich „Bobby" stał się jednym z trybików działającej nielegalnie przestępczej machiny. Jak ustaliła prokuratura we Frankfurcie nad Menem, zarabiał on na życie w ten sposób, że werbował w Indiach swoich współziomków, aby następnie, za wysoką opłatą, przemycać ich do Niemiec zachodnich.

Ten nielegalny **import** dotyczy zresztą nie tylko obywateli indyjskich. Pakistańczycy np. przylatują legalnie, wyposażeni w wizy turystyczne, do Mediolanu, skąd w grupach po 8—9 osób udają się pociągiem do Bolzano — stolicy prowincji Górna Adyga. Tam, na dworcu, czekają już zaufani taksówkarze, którzy za opłatą 100 marek od osoby przewożą Azjatów do RFN.

Masowa niekontrolowana imigracja do RFN budzi coraz większe zaniepokojenie władz poszczególnych krajów zachodnioniemieckich, do których w roku 1978 wpłynęło aż 33 tys. wniosków o przyznanie azylu politycznego — 6 razy więcej niż w roku 1972. Nie ma jednak wśród nich jednomyślności co do tego, w jaki sposób należałoby położyć temu tamę.

W zachodnioniemieckich urzędach czeka obecnie na załatwienie 60 tys. wniosków o przyznanie azylu politycznego, których autorami są ludzie, nie mający we własnym kraju nic wspólnego z działalnością polityczną. A wniosków tych wciąż przybywa. Stale rośnie także liczba tych, którzy przyjeżdżają zupełnie nielegalnie i zatrudniają się po kryjomu. Według urzędowych ocen, takich nielegalnych imigrantów jest w RFN około ćwierć miliona, równie dobrze może ich być jednak o 100 tys. więcej.

Gigantyczny, oszukańczy interes, polegający na przemycie ludzi, zaczyna się gdzieś bardzo daleko, między Chorwacją a Hongkongiem. Snując barwne opowieści o lepszym życiu w Niemczech zachodnich nie żałując obietnic łatwych i wysokich zarobków, agenci werbunkowi jeżdżą od wioski do wioski i skłaniają wieśniaków do opuszczania ojczyzny. Chętnym ułatwia się podróż na Zachód, muszą jednak za to dość słono zapłacić — od 2 do 10 tys. marek od osoby.

Ponieważ tacy **turyści, zwłaszcza z Jugosławii i Turcji**, przyjeżdżają często całymi autokarami, aby w RFN natychmiast podjąć nielegalnie pracę, lub później złożyć wniosek o udzielenie azylu. Stała Konferencja Ministrów Spraw Wewnętrznych krajów zachodnioniemieckich postanowiła z początkiem br. wprowadzić znaczne zaostrzenia kontroli granicznej. Jak oświadczył sekretarz stanu w federalnym ministerstwie spraw wewnętrznych, S. Froehlich, istnieje np. możliwość wydalenia z kraju cudzoziemców, którzy przybywają do RFN jako turyści, aby natychmiast po przyjeździe powoływać się na prawo azylu politycznego. Bawaria zresztą przystąpiła już wcześniej do wprowadzenia takich zaostrzeń, co zresztą nie na wiele się przydało — przemytnicy ludzi zmienili po prostu teren operacji. Nie pomagają również organizowane sporadycznie przez policję zachodnioniemiecką akcje aresztowań wśród taksówkarzy, którzy regularnie przewożą Pakistańczyków i Bengalczyków ze Szwajcarii przez nie kontrolowaną granicę do RFN. Organizatorzy tych kursów, którzy — zdaniem władz szwajcarskich — mają swoje centrale w Bernie i w Nadrenii, szybko znajdują zastępcze środki transportu.

Wielostronne możliwości przestępczych działań w tej dziedzinie stworzył mimo woli sam... Federalny Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe. Trybunał ten wydał mianowicie w roku 1967 orzeczenie, w którym opowiedział się za dopuszczeniem w RFN oprócz państwowych urzędów pośrednictwa pracy, także działalności pośredników prywatnych, uznając ją za nieszkodliwą społecznie i wręcz — pożądaną. Działalność części owych prywatnych pośredników jest rzeczywiście zgodna z prawem i ułatwia życie wielu ludziom, jednakże obok nich rozwinął się olbrzymi nielegalny biznes, który — według oficjalnych ocen — obraca miliardowymi sumami.

Handel **żywym towarem** w postaci siły roboczej zza granicy zdarzał się już w RFN, nigdy jednak dotąd nie traktowano ludzi jak niewolników — stwierdzają z ubolewaniem funkcjonariusze policji monachijskiej, którzy niedawno wykryli pewną bawarską firmę budowlaną, zatrudniającą nielegalnie około 40 robotników, stosując wobec nich metody nacisku i szantażu. **Jeśli piśniesz słowo, to cię wsadzą** — głosiło naczelne hasło firmy.

Podobne doświadczenia zebrała utworzona w październiku ub. roku w Hamburgu komórka organów ścigania, która skupia w swych rękach **specjalne przestępstwa gospodarcze i wykroczenia przeciwko przepisom o robotnikach cudzoziemskich.** W tym portowym mieście, gdzie tylko w roku 1978 wdrożono śledztwo w 5250 przypadkach przekroczenia przepisów o zatrudnianiu cudzoziemców, pracownicy tej komórki mają pełne ręce roboty.

Tak np. pełnomocnik jednej z hamburskich firm budowlanych, schwytany został na gorącym uczynku, z teczką, zawierającą 150 tys. marek, w momencie, gdy w małej knajpce w hamburskiej dzielnicy St. Pauli przystępował do wypłacania należności nielegalnie zatrudnionym robotnikom cudzoziemskim. Firma ta, która nie figurowała w żadnym rejestrze, występując w charakterze **podwykonawcy,** wynajęła 20 innym przedsiębiorstwom budowalnym 200 nielegalnych robotników, głównie z Jugosławii i Turcji. Robotnicy ci otrzymywali wynagrodzenie od 1 do 8 marek za godzinę; wynajmująca ich firma w ciągu niespełna roku **zarobiła** na nich — jak ocenia policja — co najmniej 2,2 miliona marek.

Jeśli któryś z robotników ulegał wypadkowi przy pracy, wówczas — bez względu na powagę obrażeń — był natychmiast wyprawiany do kraju. **Wtykano mu do kieszeni kilka setek i wsadzano do najbliższego samolotu** — mówią funkcjonariusze policji.

Jednym z **podwykonawców** z Kolonii, który — według własnych zeznań — umieścił w 6 firmach budowlanych około 120 nielegalnych robotników, opowiada z odcieniem dumy: **Odwalali tygodniowo po około 60 godzin każdy. Oczywiście musiałem im coś płacić i to mnie trochę kosztowało.** Jego własne dochody, podobnie jak wielu jego kolegów po fachu, wynosiły netto — jak przypuszcza Ewangelicki Biuletyn Prasowy — około 100 tys. marek tygodniowo.

Metodami nacisku i pogróżek nielegalni pośrednicy podporządkowali sobie już całą gałąź zatrudnienia, jaką jest werbowanie ludzi do pracy w portach i na morzu. Zagraniczni marynarze, poszukujący pracy w porcie hamburskim, mogą ją znaleźć niemal wyłącznie za pośrednictwem nielegalnych maklerów, **urzędujących** w podejrzanych knajpach tego portowego miasta. Opłata za pomoc w zamustrowaniu kształtuje się w granicach 300—500 marek od głowy. Ponieważ — jak się zdaje — z usług owych pośredników korzystają chętnie także zachodnioniemieccy armatorzy, organa ścigania nie są w stanie znaleźć ani jednej osoby, która by zechciała wystąpić w charakterze świadka. **Wszyscy wiedzą, że działa tutaj potężna mafia. Kto zdecyduje się zeznawać, ten musi zdać sobie sprawę, że nigdy nie dostanie się na żaden statek.** — mówi działający wśród marynarzy duchowny katolicki, Leo Kreiss.

Ułatwiony proceder mają także nielegalni pośrednicy w branży budowlanej. Przedsiębiorcy budowlani mają wprawdzie obowiązek sprawdzania czy robotnik ma zezwolenie na pobyt i pracę, ale prawie nigdy tego nie robią. Poza tym wielu z nich bez żenady przyznaje się do udziału w tym zakazanym interesie. **Cóż, jeśli ma się kłopoty z dotrzymaniem terminów, albo brakuje personelu, to nieskorzystanie z takiej oferty byłoby głupotą** — mówi Franz Wachter, będący na dodatek honorowym przewodniczącym cechu budowlanych w Stuttgarcie. A przecież przedsiębiorca zatrudniający nielegalnie robotników cudzoziemskich musi — w razie wpadki — ponieść, obok przewidzianej przepisami kary, także koszty deportacji nielegalnie przybyłych ludzi. Tak więc pewien ogrodnik z Bergedorf koło Hamburga musiał zapłacić ponad 100 tys. marek, ponieważ zatrudniał u siebie 15 cudzoziemców, nie mających zezwolenia na pracę, a ponadto na mieszkanie dla nich przeznaczył starą wędzarnię, pozbawioną okien i nieogrzewaną.

Jednakże aresztowania wśród zachodnioniemieckich pośredników i przedsiębiorców zatrudniających nielegalną siłę roboczą zdarzają się niezwykle rzadko. Organa ścigania mają bowiem bardzo ograniczone pole działania. Czasem, na ślad przestępstwa naprowadza donos ze strony konkurencji, natomiast sami wyzyskiwani robotnicy nigdy nie zwracają się do policji, bojąc się ujawnienia i deportacji.

„DOKTRYNA" DOSTAWCÓW BRONI

od czasów II wojny światowej. I nawet współpracownicy prezydenta w gabinecie ministrów nie zgadzają się z jego skrajnie przerysowaną oceną wydarzeń w Afganistanie i w Iranie. Sekretarz stanu Vance, mówi, że chyba nie trzeba tego wszystkiego brać aż tak tragicznie. Waszyngton powątpiewa w celowość żądań prezydenta Cartera w sprawie zwiększenia budżetu wojskowego, ponieważ bez wątpienia zwiększy to inflację, a to właśnie stanowi największą groźbę dla bezpieczeństwa Ameryki w latach 80.

Ale jest coś, co bardziej niż wszystko inne niepokoi Waszyngton. Jest to walka o władzę polityczną i o wpływy, o stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych W tym kontekście prezydent USA obawia się senatora Kennedy'ego i politycznego zagrożenia z jego strony. 13 lutego prezydent w bardzo ostrych słowach potępił senatora Kennedy'ego za jego wystąpienie w Georgetown University. Co poderwało prezydenta do tak gwałtownego ataku na senatora, występującego w dodatku z ramienia tej samej partii. Zobaczmy zatem, co takiego powiedział senator Kennedy w uniwersytecie w Georgetown.

„Prezydent Carter proklamował doktrynę, zgodnie z którą Stany Zjednoczone powinny być zainteresowane życiowo w rejonie Zatoki Perskiej doktrynę, która predestynuje nas do interwencji militarnej w obronie tego rejonu. Należy szczegółowo rozważyć, co oznacza taka „doktryna Cartera" dla całego świata i dla naszego kraju.

Wielu Amerykanów uważa, że jak prezydent Stanów Zjednoczonych wystąpi z taką lub inną oceną i nakreśli jakiś kurs, to wszyscy pozostali Amerykanie powinni mu się milcząco podporządkować, jeśli nawet rozumieją interesy narodowe zupełnie inaczej. Ale jeśli wojna w Wietnamie czegoś nas nauczyła, to właśnie tego, że kiedy nasza polityka zagraniczna nie jest przedmiotem szerokiej oceny, na kraj spadają ciosy. Jeśli polityka prezydenta jest słuszna, to jej szeroka ocena może tylko umocnić jednomyślność całego amerykańskiego narodu. Jeśli jednak jest błędna, to jej krytyczna ocena może uratować kraj przed katastrofą. Dlatego też powiem bez ogródek, że doktryna Cartera budzi we mnie wątpliwości, gdyż Ameryka powinna być nie tylko potężnym mocarstwem militarnym, ale także mocarstwem stale i konsekwentnie walczącym o okiełznanie wyścigu zbrojeń. Powinniśmy bez wahania występować w obronie praw człowieka, włącznie z najbardziej podstawowym spośród wszystkich jego praw — prawem do życia i pracy w pokoju i spokoju, bez obawy przed wojną jądrową. Żaden kryzys o charakterze regionalnym nie usprawiedliwia nierozważnej decyzji asygnowania dodatkowo wielu milionów dolarów na tworzenie systemów obronnych, które w tym wypadku są absolutnie niepotrzebne. W swoim orędziu „O stanie państwa" prezydent Carter wnosi projekt asygnowania pieniędzy na komputery przeznaczone do ewidencji wojskowej młodych Amerykanów. Jeśli chce wprowadzić służbę wojskową w czasie pokoju, to niech tak powie, ale ja wypowiadam się przeciwko obowiązkowi służby wojskowej w czasie pokoju, jak również przeciwko projektowi rejestracji młodzieży, który jest pierwszym krokiem w kierunku wprowadzenia służby wojskowej. Nie powinniśmy robić tego kroku ponieważ zapowie on początek drugiej „zimnej wojny". Nie zależy nam na tym, żeby okazywać gotowość do wysłania jeszcze jednego pokolenia młodzieży na śmierć za błędy starszego pokolenia w dziedzinie polityki zagranicznej.

Z takich właśnie realistycznych pozycji powinniśmy podchodzić do kryzysu w Iranie. Minęło już wiele czasu od dnia, gdy zostali zatrzymani nasi dyplomaci i okupowana nasza ambasada. Nie możemy sobie pozwolić na taką politykę zagraniczną, która — a wszystko na to wskazuje — doprowadzi do sytuacji, że ci zakładnicy pozostaną tam na zawsze. Nadszedł czas, żeby znów powiedzieć prawdę: jest to kryzys, który w ogóle nie powinien mieć miejsca. Nasz rząd w najbardziej niedwuznacznych słowach uprzedzano, że jeśli wpuści on szacha do USA, to Teheran podejmie kroki odwetowe. Prezydent Carter po zastanowieniu się nad tym ostrzeżeniem, zadecydował, że nie zasługuje ono na uwagę. Jeśli by podjął inną decyzję, szach bez wątpienia przebywałby dotąd w Meksyku, a nasi dyplomaci wykonywaliby swoje funkcje w Teheranie. Rząd USA nie przestaje wzywać do zastosowania sankcji ekonomicznych. Jestem im przeciwny. Zbliżają one tylko Iran do Związku Radzieckiego. Nie pomogą w uwolnieniu zakładników.

Wybory w 1980 roku nie powinny być plebiscytem ani w sprawie ajatollaha Chomeiniego, ani w sprawie Afganistanu. Najbardziej istotnym problemem, który powinien być rozwiązany podczas tych wyborów w USA, jest zagadnienie czy Ameryka może pójść na ryzyko jeszcze czterech lat niepewnej polityki i nowych kryzysów, które na pewno będą wybuchać, czy może sobie pozwolić na rząd, który mówi nam, żebyśmy się skonsolidowali wokół niego i popierali jego błędną politykę, czy może Ameryka pójść na ryzyko kolejnej polityki — a ściślej mówiąc — braku jakiejkolwiek polityki, w konsekwencji czego możemy stanąć w obliczu konieczności dokonania żałosnego wyboru między wycofaniem się a wojną. Te problemy powinny być przedmiotem dyskusji w czasie nadchodzącej kampanii przedwyborczej.

Zasłona milczenia, kryjąca politykę zagraniczną, zagłuszy dyskusję także w innych ważnych sprawach. Polityczna sytuacja okazała się u nas w domu takim samym zakładnikiem, jak nasi dyplomaci za granicą. Powinniśmy się spytać sami siebie, kto będzie się z tego rozliczać?

Przed dostawcami broni „doktryna Cartera" otwiera nowe pole do działania i perspektywy nowych zysków. Ale klasy średnie, robotnicy fizyczni, mniejszości narodowe i wszystkie ofiary dyskryminacji, bądź to dyskryminacji rasowej, bądź też dyskryminacji kobiet czy też dyskryminacji grup ludzi starych — przed nimi wszystkimi otwiera się ponura perspektywa wzrostu podatków, podwyższenia stopy oprocentowania i dalszego wzrostu inflacji. Jednocześnie, jak wynika z budżetu, który, zaproponował prezydent, zrealizowanie programu ubezpieczenia socjalnego i środków wydzielonych do zniwelowania krzywdy społecznej będzie znów odłożone na później. Jeśli konieczność poniesienia ofiar okaże się niezbędna, to niech one dotkną również kompanie naftowe i wszystkie inne komponenty kompleksu wojskowo-przemysłowego.

Orędzie „O stanie państwa", zawiesiło w powietrzu problemy, dla rozwiązania których, prawdę mówiąc, został właśnie wybrany obecny prezydent. Rząd, ale przecież nie kraj, odwrócił się od tych problemów i od ludzi, którzy muszą się z nimi borykać na co dzień: ludzi nie mających pracy, lub rodzin które nie są w stanie zapewnić sobie dachu nad głową, rodziców, którzy nie mogą zapewnić swoim dzieciom nauki w koledżach, chorych, których nie stać na opłaty za leczenie, ludzi starych, którzy stoją dziś przed wyborem — albo ciepło w mieszkaniu, albo jedzenie na stole.

Kiedy rozwieją się nasze obecne lęki i zrodzona przez nią zwartość, kiedy tłumy przestaną prezydenta oklaskiwać i zamilkną fanfary, ktoś będzie musiał wystąpić w obronie Amerykanów, których potrzeby zignorował prezydent w swoim orędziu „O stanie państwa".

Pozwólcie, że powiem wam to, czego nie usłyszeliśmy od prezydenta. Inflacja będzie się nadal zwiększać. Bezrobocie będzie rosnąć. Ceny za paliwa będą jeszcze wyższe. Ceny za paliwo do ogrzewania domów podniosą się do 95 centów za galon (3,7 litra), a teraz dowiedzieliśmy się, że „Exxon", po raz pierwszy w historii istnienia korporacji przemysłowych, zgarnęła 4 miliardy dolarów zysku.

Wszystkie te problemy polityki wewnętrznej stanowią bez wątpienia problem sprawiedliwości społecznej. Są one bezpośrednio związane z kryzysem naszej polityki zagranicznej. Wszyscy przypominamy sobie kandydata z ramienia partii demokratycznej na stanowisko prezydenta w 1972 roku. (Chodzi o J. MacGowerna — red.), który naraził się na ostrą krytykę podczas kampanii przedwyborczej za propozycję udzielania biedakom zapomogi w wysokości 1000 dolarów rocznie. Jak powinniśmy się ustosunkować wobec prezydenta demokraty w 1980 roku, który chce zrobić akurat odwrotnie, zamierzając odejmować te 1000 dolarów rocznie każdej rodzinie i przekazywać je kompaniom naftowym?"

(jc)

UCZEŃ BIJE MISTRZA

Kiedyś wiele rozprawiano o inwazji amerykańskiego kapitału na europejski kontynent. Obszerną o tym pracę opublikował dziesięć lat temu francuski pisarz i polityk Servan Schreiber. Dzieło nosiło tytuł „Amerykańskie wyzwanie". Przedmowę do tej książki napisał nie kto inny, jak Franz Joseph Strauss. Uderzono wówczas na alarm. Europie grozi amerykańska kolonizacja. Amerykanie zainwestowali w różnych krajach Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej ponad dwadzieścia miliardów dolarów i przejęli w swe ręce dwa tysiące renomowanych europejskich firm.

Istotnie, spośród pięciu produkowanych naonczas w „Bundesrepublice" samochodów, dwa nosiły amerykańskie stemple. Co trzeci papieros był amerykański, i co trzeci litr benzyny.

Servan Schreiber pociągnął wówczas za alarmowe dzwony. Wzywał Europę do wyrwania się z letargu i zrzucenia amerykańskiej hegemonii gospodarczej. Twierdził, że dość jest na starym kontynencie sił duchowych i sił twórczych, by mogły one zapłodnić Europę do nowego renesansu i rozkwitu.

Upłynęło od tamtych dni dziesięć lat.

Dziś mówi się na Zachodzie o „niemieckim wyzwaniu". Dziś głośno w świecie o stale rosnącej potędze gospodarczej „Bundesrepubliki". I nie jest to czcza gadanina, Republika Federalna Niemiec, to dziś ekonomiczny kolos. Na stosunkowo niewielkim obszarze działają tam niesłychanie prężne mechanizmy wytwórcze. Dość wspomnieć o koncernach, które mają światowy już zasięg. To „Daimler-Benz", „Siemens", „Volkswagen", „Hoechst", „BASF", „Krupp", „Mannesman" i wiele, wiele innych. To stal, to chemia, to samochody i supernowoczesny przemysł maszynowy.

Wszystkie te koncerny w ciągu minionych siedmiu lat podwoiły swe obroty. Pierwsza szóstka koncernów z nad Renu obraca w świecie rocznymi kwotami w wysokości od piętnastu do dwunastu miliardów dolarów. To właśnie firmy światowe z licznymi filiami rozrzuconymi po wszystkich niemal kontynentach.

A był taki czas, że to Amerykanie pchali się na niemiecki rynek z kapitałem. Tak było już przed drugą wojną światową. Ford zaczął produkować w Niemczech samochody już w 1929 roku. Nieco później „General Motors" przejął „Opla". Do Niemiec ruszyły na podbój także kapitały inne, chociażby holenderskie. „Philips" usadowił się w Berlinie już w 1929 roku.

Dziś wiatr w żagle złapał wielki kapitał z Duesseldorfu i Franfurtu nad Menem. Kilka może faktów na potwierdzenie tego. W 1962 r. koncerny „Bundesrepubliki" zainwestowały za granicą pięć miliardów marek, natomiast w 1978 roku 52 miliardy. Ciekawe, że w samych tylko Stanach Zjednoczonych firmy Republiki Federalnej Niemiec zainwestowały po wojnie 10 miliardów marek. Role zatem się odwróciły. Chciałoby się rzecz — oto uczeń prześcignął mistrza i buszuje na jego własnym terenie.

Najczęściej wszakże wielki kapitał „Bundesrepubliki" penetruje kraje Ameryki Łacińskiej, Afryki, w ogóle państwa znajdujące się „na dorobku". W samej tylko Brazylii zainwestowano cztery miliardy marek. Miliarderzy z nad Renu kalkulują trzeźwo, rachują z lodowatym chłodem. Otóż robocizna jest w „Bundesrepublice" bardzo już droga. Po wtóre mercedes wyprodukowany w macierzystym zakładzie musi w drodze do Brazylii przyjąć na swój grzbiet spore obciążenie cłowe. Działają zresztą inne też restrykcje, których celem jest ochrona rodzimego przemysłu przed obcą konkurencją.

Więc „Daimler-Benz" obchodzi te trudności, budując własny zakład w środku kraju, gdzie zbyt na jego wozy jest na długie lata zapewniony. Jeszcze i to, że wtedy jest na miejscu tania robocizna. Cel ani ograniczeń nie ma wtedy żadnych. A zysk w takich warunkach jest ogromny. Ten zysk płynie szerokim strumieniem do banków „Bundesrepubliki" Czy stamtąd wyruszy na nowe podboje do Nigerii, Algierii, czy na Wyspy Kanaryjskie... Bo turystyczny hotel też jest dobrą lokatą. Wszysto jest dobre, na czym można zarobić

O innej jeszcze przyczynie, dla której kapitał szuka w świecie korzystnych lokat, wspomniał niedawno hamburski tygodnik „Die Zeit". Otóż po nie jednej kapitalistycznej głowie w Zachodniej Europie krąży paniczny lęk przed socjalizmem, bo „der Sozialismus droht", socjalizm grozi... Nigdy przecież nic nie wiadomo, nurty lewicowe mogą pewnego dnia wziąć górę także w Hamburgu i w Zagłębiu Ruhry. Co wtedy? Klops i klapa. Więc człek przy zdrowych zmysłach i rozwiniętym instynkcie samozachowawczym szuka na wszelki wypadek zabezpieczenia. Buduje okopy, do których mógłby się ewakuować, w chwili grozy wycofać i cało z kataklizmu unieść głowę.

Więc dobrze mieć konto w „Bundesrepublice", ale nic nie zaszkodzi mieć własne kapitały i własne konta rozrzucone w różnych częściach świata. Jak ten przepadnie to drugie się uratuje. Byle z głową, „meine Herren", wtedy człowiek nie zginie.

Wielu jednak ostrzega. — W kręgach Południowej Ameryki wciąż więcej zwolenników zyskuje teoria tak zwanej „Dependencji". Jej głównym przedstawicielem jest profesor Osvaldo Sunkel z Chile. Profesor dowodzi, że wpływ obcego kapitału do krajów gospodarczo opóźnionych w rozwoju wcale dobrodziejstwem nie jest. Wręcz przeciwnie, to na dalszą metę oczywista klęska. Te supernowoczesne i zautomatyzowane fabryki, które wyrastają na peryferiach „zachodniego świata" wcale bezrobocia nie zmniejszają.

W tych fabrykach potrzebne są siły pomocnicze, więc tubylcze, potrzebni są też wybitni fachowcy, a to już cudzoziemcy. Po wtóre te niesłychanie wydajne przedsiębiorstwa niszczą przemysł miejscowy który też konkurencji sprostać nie może. A wszystko to prowadzi do dalszego pogłębienia przepaści między bogatą Północą i biednym Południem.

Prawdą nie do obalenia jest i to, że czego nie zdołał wywalczyć zbrojny oręż, to zdobywa dziś w świecie żelazna marka Gospodarcza potęga „Bundesrepubliki" wciąż rośnie. Kapitał Republiki Federalnej Niemiec jest w marszu. I bardzo by było źle, gdyby ktokolwiek próbował ten złowieszczy fakt bagatelizować.

JAN BĄBIŃSKI

Córka znanego francuskiego aktora — Maria Trintignant. Grała już w kilku filmach. Po „Czarnej serii" przyszła kolej na „Brata i siostrę" — w tym filmie reżyserowanym przez jej matkę, Nadine, wziął udział także brat, Vincent.

REWIZOR Z SZANGHAJU

Zgodnie z obecnym usztywnieniem kursu także w literaturze i sztuce chińskiej, z repertuaru teatrów i telewizji znikają niektóre cieszące się dużą popularnością sztuki aktualne. Miało to miejsce np. z obrachunkową sztuką pt. „Przywileje i praworządność", a ostatnio także ze szczególnie żywo przez widownię przyjmowaną sztuką „Kim ty jesteś?", osnutą na tle prawdziwej historii o niebieskim ptaku. Ostatnio ujawnione zostały nowe szczegóły tej historii, zasługujące na przytoczenie.

25-letni robotnik rolny Czang Lung-kuan przez kilka miesięcy, aż do aresztowania w kwietniu 1979 r., podawał się w Szanghaju za syna zastępcy szefa sztabu generalnego Li Ta Czynił to tak skutecznie, że zasypywano go prezentami i zaproszeniami na uczty, oddano do użytku samochód służbowy, przedstawiano nie tylko dostojnikom, ale i gwiazdom teatru i baletu, składano oferty matrymonialne.

Zaczęło się od tego, że Czang, udając dyrektora wydziału propagandy komitetu szanghajskiego, zatelefonował do znanej aktorki z prośbą o bilet na szekspirowskie „Wiele hałasu o nic". Powiedział jej, że bilet ma być dla syna wysokiego dostojnika z Pekinu. Czang dostał nie tylko bilet, ale pewien miejscowy dygnitarz słysząc, że ma do czynienia z takim dostojnym gościem, odstąpił mu swoje, lepsze miejsce. Wkrótce Czang, już jako „syn Li Ta" zaczął odwiedzać domy znanych aktorek i zdołał zaręczyć się z córką byłego kapitalisty, który świeżo odzyskał część swej fortuny, przy czym szybko sprowadził się do domu swych przyszłych teściów. Następnie, podszywając się telefonicznie pod swego rzekomego ojca, wyłudził od poznanego na przyjęciu I sekretarza partyjnego uniwersytetu Fu tan wypożyczenie jego samochodu służbowego, a dysponowanie tą limuzyną automatycznie czyniło z niego dostojnika, mającego wszędzie otwarty wstęp.

Dopiero jakieś wścibskie sąsiadki zainteresowały się wysoką stopą Czanga i wiadomość o tym dotarła poprzez lokalny komitet partyjny aż do I sekretarza Szanghaju Peng Chonga, członka Biura Politycznego. Ale i on uznał za celowe najpierw zatelefonować do Li Ta, by upewnić się, czy nie chodzi tu przypadkiem o autentycznego syna zastępcy szefa sztabu. Wniosek: gdyby Czang był tym, za kogo się podawał wszystko byłoby w idealnym porządku, ale ponieważ tak nie było, siedzi dziś w mamrze. Sztuka o nim, przedstawiająca go podobno w dość pozytywnym świetle, pokazywana była tylko krótko i dla wybranej publiczności.

Z PRAWEM NA CO DZIEŃ

rozmowa z zastępcą prokuratora wojewódzkiego w Łodzi JACKIEM RZĄDKOWSKIM

„Prokuratura to nie tylko organ ścigania, lecz i organ zajmujący się propagowaniem prawa".

Foto: R. Łucyszyn

— Panie prokuratorze, rozpoczynając naszą rozmowę chcę uzyskać kilka wyjaśnień na temat prawa obowiązującego obywateli na co dzień, o którym tenże obywatel częstokroć nic nie wie. Jednakże w świetle naszego prawodawstwa nieznajomość prawa w przypadku popełnienia przestępstwa nie stanowi okoliczności łagodzącej.

— Jest zasada, że obywatel nie może się tłumaczyć nieznajomością prawa, choćby z tego względu, że istnieje absolutnie pełna możliwość uzyskania w tym względzie informacji albo za pomocą źródeł ogólnodostępnych lub poprzez różne organy i instytucje, które takich informacji udzielają. W języku prawniczym nazywamy to uzyskaniem wzoru powinnego zachowania się.

— Ale ludzie są tylko ludźmi i częstokroć wpierw coś czynią, a potem ewentualnie zastanawiają się czy ich zachowanie było zgodne z obowiązującą literą prawa. A zdarza się i tak, że ominięcie prawa wypływa nie ze złej woli lecz z nieświadomości.

— I to bardzo często. Weźmy dla przykładu sprawę przepisów dewizowych, których nie przestrzeganie może pociągnąć za sobą określony rodzaj odpowiedzialności karnej lub karno-administracyjnej. Przykłady: jeśli do kogoś przyjeżdża rodzina z zagranicy, wówczas istnieje czasem konieczność wręczenia temu komuś pewnej kwoty polskich pieniędzy na drobne zakupy. Otóż przepisy mówią jednoznacznie, że osobie takiej można w formie darowizny od wszystkich członków rodziny na cały czas pobytu w Polsce — czy to będzie tydzień, miesiąc, czy rok — wręczyć kwotę jednego tysiąca złotych. Przy czym, jeśli mówimy o pożyczce czy darowiźnie, to zawsze chodzi o tzw darowiznę czystą. Słowo „czysta" jest pojęciem prawnym i oznacza, że musi to być darowizna nie obwarowana żadnym zobowiązaniem. To znaczy, że u jej podłoża nie ma założenia, że skoro ja ci tu w Polsce dam 10 tys. zł, to w zamian za to, gdy ja znajdę się w twoim kraju, ty będziesz mnie utrzymywał przez tydzień lub dwa, albo za tę kwotę kupisz mi to czy tamto, ewentualnie wrócisz mi równowartość w obcej walucie.

Inny przykład: czy wolno przyjąć darowiznę dewizową np. pewną ilość dolarów, franków, marek itp otrzymaną od osób przybywających do Polski. Wolno. Każdą kwotę od każdego cudzoziemca tak w kraju jak i za granicą o ile jest to darowizna w formie czystej. Również wolno przyjmować darowiznę np. w postaci samochodu. Należy jednak w tym szczególnym przypadku uzyskać zezwolenie z Narodowego Banku Polskiego i opłacić cło. Oczywiście można przyjmować darowiznę w postaci ubrań, koszul, zegarka o ile, jak wspomniałem, jest to darowizna czysta.

— A jak wygląda w świetle prawa przyjęcie darowizn dewizowych od członka rodziny zamieszkującego w Polsce?

— Jeśli ktoś z członków rodziny mieszkających w Polsce chce mi ofiarować darowiznę w środkach dewizowych, to tu ważny jest stopień pokrewieństwa. A więc: osoba najbliższa — rodzice, dzieci, brat, siostra, itp. Natomiast przyjęcie darowizny od osoby zupełnie obcej jest dozwolone jedynie w formie upominku zwyczajowego czyli chodzi o rzecz stosunkowo niewielkiej wartości i tylko z dwóch okazji: z okazji urodzenia się dziecka, albo z okazji zawarcia związku małżeńskiego.

— Panie prokuratorze, mówimy o dewizach, środkach dewizowych, wartościach dewizowych, ale dla przeciętnego obywatela słowa te kojarzą się zazwyczaj z obcą walutą wymienialną.

— To prawda, są to z reguły zagraniczne środki płatnicze. Ale to nie wyczerpuje pojęcia „wartości dewizowe". Wartością dewizową w myśl polskich przepisów jest złoto i platyna w postaci nie stanowiącej wyrobu użytkowego. I tu zaraz rodzi się pytanie: co jest wyrobem użytkowym, a co nim nie jest? Co do pewnych rzeczy nie ma wątpliwości, np. sztaby złota, zlepki, grudki, złoty piasek — są to rzeczy nie użytkowe. Ale sięgając dalej do przepisów dowiadujemy się, że przedmiotami użytkowymi ze złota są przedmioty, które są zazwyczaj ze złota wykonywane. I znowu rodzi się kolejne pytanie: jaki przedmiot jest wykonywany zazwyczaj ze złota? Możemy wybrać obszerną grupę przedmiotów, co do których jest absolutna pewność: bransoletki, pierścionki, obrączki, kolczyki, naszyjniki itp., które zazwyczaj wykonane są ze złota. Ale już przy zegarku rodzą się wątpliwości, bowiem słowo „zazwyczaj" jest interpretowane tak, że przeważająca część danych wyrobów jest wykonywana przeważnie z kruszców szlachetnych. Gdybyśmy teraz policzyli wszystkie zegarki robione na świecie i porównali z zegarkami robionymi ze złota, okaże się, że tych ze złota jest znikomy procent. Dlatego nie można powiedzieć, że zegarek jest „zazwyczaj" wykonywany ze złota, choć nasze prawo intepretuje je jako wykonywane zazwyczaj ze złota i dlatego one nie są wartością dewizową. Tak więc słowo „zazwyczaj" ma tu inny cel: chodzi o to, by wyeliminować te przedmioty, którym nadano pozorny charakter wyrobów użytkowych: np. przycisk ze złota, kałamarze, rama do portretu ukochanej babci itp. Właśnie w ten sposób ludzie usiłują ominąć przepisy celne.

— Jak wygląda sprawa darowizny, jeśli zachodzi ona w momencie przebywania obywatela polskiego za granicą? Co możemy przyjąć od swych bogatych krewnych, a czego nie?

— Obywatel polski przebywający za granicą, ma prawo przyjmować darowiznę od cudzoziemców, jednak z tym zastrzeżeniem, że musi to być „darowizna czysta", tzn. nie może ona być obwarowana wzajemnymi świadczeniami. Darowizna może być przyjmowana bez ograniczeń zarówno przedmiotów, jak i zagranicznych środków płatniczych. Oczywiście te rzeczy podlegają zwyczajnej opłacie celnej oraz opłacie skarbowej od nabycia praw majątkowych z tytułu umowy-darowizny. Złoto z zagranicy wolno przywozić do Polski pod każdą postacią, pod warunkiem, że zostanie opłacone cło.

— Czy dotyczy to także obcych złotych monet wybitych okazjonalnie, czy też monet używanych w danym kraju, jako środek płatniczy?

— Zanim odpowiem, chcę wyjaśnić dwa terminy: co jest numizmatem, a co nim nie jest. Przepisy mówią o tym w sposób dość złożony: jako przedmioty użytkowe, czyli te które są dozwolone do normalnego obrotu, dopuszcza się monety spełniające dwa warunki: że zostały wybite przed rokiem 1850, i że są to monety mające charakter zabytkowy. Chyba, że obrót odbywa się poprzez „desę". Jest jeszcze jeden problem: co to jest złoto? Otóż złoto w czystej postaci występuje w formie sztab i ma próbę zbliżoną do liczby 999,99, czyli na tysiąc części złota tylko jedna setna jest domieszką. Dlatego nie ma przedmiotów z czystego złota, muszą w nich być domieszki utwardzające. I teraz powstaje pytanie: ile tej domieszki musi być, aby coś było jeszcze złotem lub nim już nie było? Tu obowiązuje prawo probiercze, które mówi, że minimalna ilość złota, która stanowi, że jakiś przedmiot jest jeszcze „złoty", wynosi 375 części złota na tysiąc części całego stopu. Jest tylko jeden wyjątek i dotyczy on obrączek: tu ilość złota może wynosić 333 części na tysiąc części stopu. Ale pierścionek z tego stopu już nie jest złotem.

Natomiast istnieje kategoryczny zakaz obrotu przedmiotami z kruszców, które nie mają próby polskiej, pomimo tego, iż mogą mieć wybitą próbę obcą. Tak więc każdy wyrób, który się posiada, a który chce się sprzedać, musi mieć polską próbę probierczą, bo inaczej jest to naruszenie prawa i podlega ukaraniu. Posłużę się przykładem: jeśli ktoś dla pana wykona prywatnie obrączkę, czy pierścionek, to dopóki pan ją nosi — wszystko jest w porządku, natomiast jeśli będzie ją pan chciał sprzedać — trzeba bezwzględnie poddać ją ocechowaniu. Chcę powiedzieć, że karze podlega zarówno ten kto sprzedaje wyroby ze złota nie mające polskich prób probierczych, jak i ten, kto taki wyrób nabywa. Tu także nikogo nie chroni nieznajomość przepisów prawnych.

— Panie prokuratorze, ale są przecież sytuacje, kiedy nie ma czasu zastanawiać się, czy nasze postępowanie będzie zgodne z prawem, czy też nie. Na przykład: na którymś z pięter wieżowca pękła rura lub grzejnik, a właściciele są na wczasach. Woda zalewa dolne piętra. Czy wpierw trzeba sięgnąć do kodeksu, czy po prostu wyłamać drzwi i zatkać przeciek?

— Prawo gwarantuje każdemu nienaruszalność jego mieszkania. Ale we wspomnianym przypadku jest to stan tzw. wyższej konieczności i wbrew pozorom nie trzeba tu decyzji, ani prokuratury, ani milicji. Decyzję może podjąć administracja, zarząd spółdzielni, do której dom należy, dozorca lub gospodarz domu, komitet blokowy, a w ostateczności sąsiedzi, którzy w razie czego będą świadczyć o tym co się stało. Więc albo wybija się szybę, albo forsuje się drzwi, bowiem przyświeca tu zasada, że dobro ratowane jest większe od dobra poświęcanego. Wartość wyważonych drzwi jest mniejsza od wartości zalanych mieszkań w całym budynku. Ale tu muszą być spełnione inne warunki, już nie prawne, a czysto obywatelskie. Przede wszystkim trzeba takie mieszkanie zabezpieczyć przed osobami niepowołanymi, a jeśli zmieniono zamek, to należy pozostawić informację, gdzie właściciel ma szukać nowego klucza. Ponadto względy czysto ludzkie wymagają by w mieszkaniu, w którym nastąpiła awaria kaloryfera, czy rury wodnej i uległy zalaniu sprzęty lub dywany, mieszkanie takie przewietrzyć, dywany wysuszyć itp.

Podobnie przedstawia się sprawa, gdy chodzi o ludzi starszych, mieszkających samotnie. Jeśli sąsiedzi zauważą, że jakaś staruszka przez parę dni nie wychodzi z mieszkania, a na pukanie nie odpowiada, wówczas mogą bez pomocy władz wyważyć drzwi. Nie raz w ten sposób ratują tym ludziom życie.

— A jak to jest z kupnem rzeczy używanych? W Łodzi na targowiskach i rynkach jest sporo osób usiłujących sprzedawać przedmioty lub odzież używaną. W tej sytuacji może rodzić się podejrzenie, że kupuje się rzecz kradzioną.

— Chce pan uzyskać odpowiedź, czy obywatel kupując rzecz kradzioną, o czym nie wie, będzie odpowiadał karnie? Tak, będzie. Bowiem zachodzi tu sytuacja nieumyślnego paserstwa, gdy kupujący w czasie transakcji mógł domyślić się, że rzecz, którą chce nabyć może pochodzić z kradzieży. Np. jeśli ktoś kupuje kożuch, który dziś kosztuje 15—20 tys. zł, a sprzedający żąda za niego 3 lub 5 tysięcy, cena ta powinna wzbudzić u kupującego podejrzenie, iż rzecz pochodzi z kradzieży lub nielegalnego źródła. Druga sprawa, to okoliczności transakcji: jeśli odbywa się ona w bramie, w pośpiechu, bez świadków, jeśli sprzedający nie chce podać swojego adresu i okazać dowodu osobistego, wówczas można domiemywać, że sprzedaje rzecz kradzioną. Jeśli więc kupujący nie stwierdzi w czasie kupna podanych powyżej okoliczności i uzyska adres sprzedającego, to w przypadku nabycia rzeczy kradzionej nie odpowiada z tytułu nieumyślnego paserstwa.

— Interesuje mnie jeszcze jedna możliwość naruszenia prawa, choć pozornie wszystko odbywa się jawnie i w instytucji państwowej. Chodzi o przydział samochodów odbieranych w „Polmozbycie". Co ile lat obywatel może, nie naruszając prawa, otrzymać nowy samochód?

— Nowy samochód w „Polmozbycie" można nabywać co 4 lata. Sprzedać można od razu, po opłaceniu odpowiedniej opłaty skarbowej: 20 proc. w pierwszym roku, 12 proc. w drugim, 5 proc. w trzecim od sumy za jaką samochód został sprzedany. Jeśli ktoś korzystał z przydziału i po otrzymaniu samochodu natychmiast go sprzedał, nie może kupić w „Polmozbycie" nowego w żadnej formie gotówkowej, chyba, że wygra. Osoba, która jednak przed upływem czterech lat nabywa nowy samochód z „Polmozbytu", narusza artykuł 9 Dekretu o Reglamentacji z 1952 r. przewidującego poważną karę pozbawienia wolności oraz przepadek przedmiotu transakcji na rzecz skarbu państwa. Wie pan, to jest podobne do podnajmu mieszkań. Jeśli osoba, która otrzymuje przydział mieszkania spółdzielczego, z jakichś przyczyn tego lokalu nie potrzebuje, a wynajmuje go komuś trzeciemu, aby czerpać z tego zyski, ponosi odpowiedzialność. Przede wszystkim zostaje wykreślona ze spółdzielni i eksmitowana z przydzielonego mieszkania.

— Jeszcze jedna sprawa, moim zdaniem, wymagająca dodatkowego naświetlenia. Kiedy wręczając pieniądze komuś trzeciemu wręczam mu napiwek, a kiedy będzie to zwyczajną łapówką?

— Prawo wyraźnie określa co jest napiwkiem, a co jest łapówką. Napiwek może mieć charakter zwyczajowy i może być wręczany w formie jakiegoś dodatku do określonej kwoty wyłącznie w sytuacjach zwyczajowych: kelnerowi za szybkie i dobre obsłużenie nas w restauracji, fryzjerowi za rzetelność jego pracy itp. Natomiast kodeks karny określa łapówkę jako korzyść majątkową i dotyczy osób będących funkcjonariuszami publicznymi. Czyli dotyczy każdego, kto w zakresie swojego działania posiada pewien zakres władzy. Są tu dwie możliwości: ktoś daje komuś z własnej inicjatywy, lub ktoś uzależnia dokonanie jakiejś czynności od wręczenia mu łapówki. Nasze prawo karze zarówno tych, którzy biorą łapówki, jak i tych co je dają. Oczywiście odpowiedzialność tego, kto żąda jest większa od tego kto daje. I tu o napiwku nie może być mowy. Jest problem społeczny odnoszący się do ukrywania lub, powiedzmy, zostawiania pewnych deficytowych towarów. Np. ktoś chce kupić pralkę i prosi sprzedawcę w sklepie, aby go zawiadomił kiedy pralki nadejdą lub po prostu taką pralkę dla niego zostawił. Za to wręcza sprzedawcy pewną kwotę pieniężną. Jeśli wręczy ją kierownikowi sklepu — będzie to łapówka, jeśli sprzedawcy — to ten ostatni może być jedynie pociągnięty do odpowiedzialności dyscyplinarnej lub karno-administracyjnej. Ale to takze nie będzie napiwkiem.

— Ostatnie pytanie: czy wolno mi na użytek własny produkować alkohol?

— W żadnym wypadku. Dziś wiele ludzi robi wino z owoców i poddaje je później procesowi destylacji. Zgodnie z naszym prawem, wyrób wina na domowy użytek nie stanowi przestępstwa, natomiast wyrób alkoholu drogą destylacji jest zabroniony. Czyli mówiąc szerzej, zarówno wyrób alkoholu drogą destylacji wina na alkohol o wyższym stężeniu, jak również wyrób alkoholu z innych produktów jest surowo karany. Nie wolno dokonywać destylacji ani na sprzedaż, ani do domowego użytku i tłumaczenie się, że to na weselе, czy chrzciny nie stanowi usprawiedliwienia. Przestępstwem jest nie tylko sama produkcja alkoholu, ale i wyrób, przystosowywanie i przechowywanie narzędzi do jego produkcji. Karze podlegają także osoby sprzedające lub obdarowywujące innych wyrobami otrzymanymi z destylacji alkoholu, oraz ci, którzy takie wyroby przyjmują.

— Jestem przekonany, że w tej rozmowie nie wyczerpiemy wszystkich okoliczności, w których naruszanie prawa bywa częstokroć wynikiem jego nieznajomości.

— Oczywiście. Chcę jedynie dodać, że prokuratura to nie tylko organ ścigania, lecz i organ zajmujący się propagowaniem prawa. Uważamy, że popularyzacja prawa jest najtańszą formą walki z przestępczością. A świadomość prawna społeczeństwa stanowi także o kulturze ogólnej tegoż społeczeństwa.

— Dziękujemy panu za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

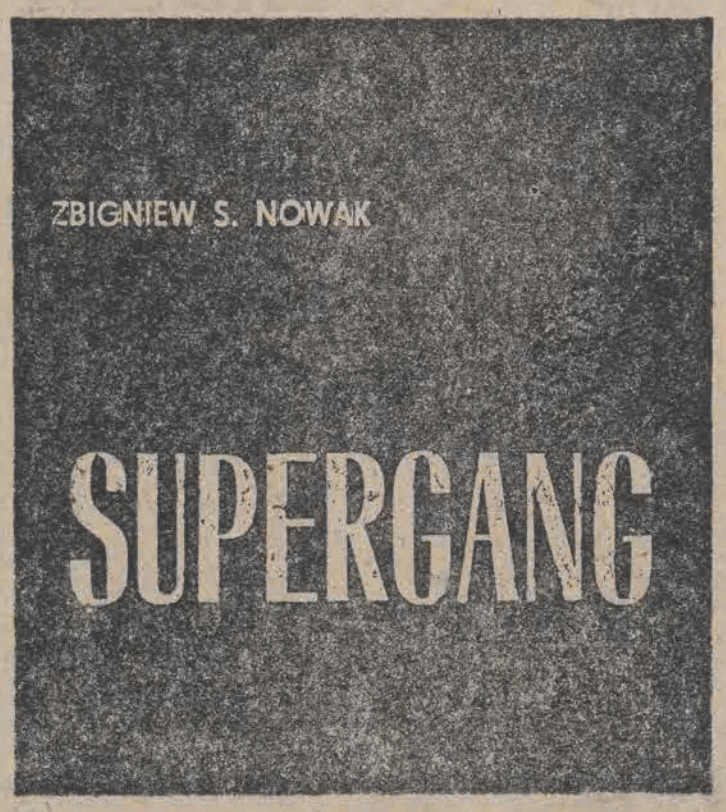

Nikt nie przewidywał ani przez moment takiego rozwoju wypadków, a jednak...

Łódź, ostatni dzień października 1979, godzina 14,00. Na przystankach tramwajowych przy skrzyżowaniu Alei Kościuszki i ulicy Zamenhofa — gromadki zziębniętych pasażerów. Znowu jakaś niespodziewana przerwa w komunikacji. Ludziska niecierpliwie wypatrują tramwajów, prożno jednak. Przyjdzie chyba długo czekać...

Zmiana świateł. Rozpędzone samochody hamują gwałtownie przed skrzyżowaniem. Znużeni przystankowicze popatrują zazdrośnie na eleganckie automobile. Wypieszczone fiaty, kilka „maluchów", jakaś dacia, nawet i wytworny mercedes, a za nim sportowy ford-cobra.

Znów zmiana świateł. Samochody startują ostro. Tylko mercedes i cobra mijają niespieszenie skrzyżowanie i majestatycznie zajeżdżają na pobliski parking, przed hotelem „Światowit".

Z mercedesa wysiada dystyngowanie starszawy, szpakowaty, elegancko odziany jegomość; z forda wyskakuje żwawo niewysoki młodzieniaszek w rozpiętym niedbale półkożuszku. Trzaskają drzwi samochodów, obaj panowie kierują się do hotelowej restauracji.

Tymczasem ze stojącej także na parkingu szarej „Wołgi" wysiadają czterej mężczyźni. Szybkim krokiem podchodzą do szpakowatego i młodzianka. Pada kilka cichych słów i nagle...

Szpakowaty, z wyrazem przestrachu i zdumienia na pobladłej twarzy, wysoko podnosi obie ręce do góry, głośno krzyczy! Zupełnie niespodziewanie dla otaczających go mężczyzn! Zaskoczenie kompletne...

Ten moment zaskoczenia natychmiast wykorzystuje kożuszkowy młodzian. Gwałtownie rzuca się do ucieczki, przez parking, w stronę skrzyżowania. W tej samej chwili przed hotel zajeżdżają dwa milicyjne fiaty. Niemal jeszcze w biegu wyskakuje z nich kilku umundurowanych funkcjonariuszy, puszczając się w pogoń za zbiegiem.

Na skrzyżowaniu znów zmieniają się światła. Akurat na czerwone. Ale ścigany, nie bacząc na to, przebiega jezdnię ostrym szpurtem, tuż przed maską olbrzymiego berlieta. Rozwścieczony kierowca autobusu posyła za nim wiązkę soczystych przekleństw, ale on tego już nie słyszy, bo wszystko zagłusza przeraźliwy łoskot nadjeżdżających właśnie z dwóch stron tramwajów.

Młodzieniec wpada z impetem na środek skrzyżowania, taranując po drodze osłupiałych z wrażenia przystankowiczów. Tu zatrzymuje się na moment, zastanawiając się, gdzie prysnąć. Najlepiej na wprost, gdzie zaraz dziedziniec uniwersytecki i wychodzące właśnie z zajęć gromadki studentów anglistyki.

Chłopak rzuca się do przodu, umykając przed rozdzwonionym tramwajem, potrąca jeszcze jakiegoś przechodnia, wbiega na jezdnię i... nagły, jazgotliwy zgrzyt hamulców, głuchy łoskot uderzenia o blaszaną maskę, brzęk szkła, przeraźliwy krzyk! Potem... cisza.

Milicjanci dobiegają do miejsca wypadku. Na jezdni nieruchome ciało, szeroko rozrzucone ręce, obok meska torebka-saszetka, otwarta, na asfalcie pare rozsypanych drobiazgów, klucze, dwie paczki dziesięciodolarówek.

Przy krawężniku, na ukos, potężny star. Wgnieciona, pogięta chłodnica, rozbita lampa, z ramy okna osypują się jeszcze szklane okruchy. Kierowca ma zamknięte oczy, poszarzałą twarz, ręce bezwładnie oparte na kierownicy. Z rozciętego czoła spływa waska strużka krwi, wargi poruszają się bezgłośnie.

Milicjanci pochylają się nad leżącym nieruchomo chłopakiem. Obok przykleka starszy mężczyzna, przechodzący tedy przypadkowo lekarz. Z rezygnacja kręci głową. Nic już nie pomoże...

Ktoś podnosi saszetkę, zbiera rozsypane drobiazgi, papierosy, pieniądze, kluczyki od forda. Ktoś pomaga wysiąść z ciężarówki oszołomionemu kierowcy. Wkoło gromadzi się tłum gapiów. Za chwilę tnie powietrze wysoki, wibrujący jek syreny...

Tak zakończył życie i karierę Złoty Lolo vel Loczek, szef największego w ostatnich latach gangu przestępców dewizowych. Miał zaledwie 25 lat.

• • •

Dewizowy gang przestał działać, przestał istnieć. A był to prawdziwy supergang, z „centrala" w Warszawie, „oddziałami" w Łodzi, Krakowie, Poznaniu, Szczecinie, Białymstoku, Rzeszowie, Przemyślu. Jego szefem był właśnie Leon G.

Oto jego „metryczka": Urodzony 18 lutego 1954 roku w Warszawie. Pochodzenie inteligenckie. Wykształcenie podstawowe. Kawaler. Nie karany. Zamieszkały w Warszawie.

Nigdy w życiu nie pracował, a mimo to żył wystawnie, nie odmawiając sobie żadnej przyjemności. Stać go było na to. Skąd czerpał fundusze? Z biznesu, dewizowego właśnie.

Ale nic nie trwa wiecznie! Co rusz wpadał któryś ze wspólników. I Leonowi G. zaczął się palić grunt pod nogami. Wreszcie trzeba było szybko zwijać interesy. Loczek miał zamiar wymienić wszystkie swoje dobra na twarde waluty i z całą gotówką prysnąć gdzieś za granicę.

Do Łodzi przyjechał załatwić ostatnią już transakcję, dokonać ostatnich rozliczeń z szefem łódzkiego „oddziału", Siwym. Niebawem miał wyjechać do NRD, a następnie jakoś „przemknąć" do Berlina Zachodniego. Nie wiedział, że jest dokładnie pilnowany, a depczący mu po piętach funkcjonariusze mają ze sobą nakaz aresztowania. Jednak nie zdjęli go od razu, w Warszawie, bo chodziło o to, by Loczek doprowadził ich jeszcze do łódzkiego bossa, by złapać go na gorącym uczynku. Nikt jednak nie przewidział, że w momencie aresztowania Siwy nieoczekiwanie podniesie ręce do góry i narobi wrzasku, dając tym Loczkowi sygnał do ucieczki.

Leon G. zginął tragicznie w zderzeniu z wielką ciężarówką. Wszyscy jego wspólnicy tłumnie zasiedli na ławach oskarżonych.

• • •

Oto w skrócie kulisy afery. Komenda Główna MO uzyskała, w wyniku dyskretnej penetracji środowisk walutiarzy, szereg informacji o tym, że od dłuższego czasu, na terenie Warszawy, Łodzi, Krakowa, Poznania, Rzeszowa i innych wielkich miast wiele osób uprawiających nagminnie handel obcymi walutami nabywa, najczęściej przed agendami PKO, bardzo duże ilości rubli. Z kolei ruble są wywożone nielegalnie z kraju za granicę, najczęściej do Czechosłowacji, a także na Węgry, do Jugosławii, Rumunii i Austrii. Tam kupowane są na stopnie od cudzoziemców dewizowych inne obce waluty, na przykład dolary USA, marki RFN, szylingi austriackie i inne waluty wymienialne. Waluty te z kolei przywożone są do kraju, gdzie część sprzedaje się od razu, np. przed sklepami „Pewexu", część zaś wymienia się na bony PKO, odprzedając je następnie całkowicie jawnie, z dużym zyskiem.

Organy ścigania wszczęły intensywne dochodzenia. I tak w końcu 1979 roku ujawniono, rozpracowano i ostatecznie zlikwidowano niespotykanych dotąd rozmiarów gang dewizowy, działający na terenie całego niemal kraju. Jego szefem okazał się Leon G., czyli Złoty Lolo vel Loczek.

• • •

Leon G. od małego sprawiał wszystkim wiele kłopotów. Był dzieckiem krnąbrnym, leniwym, nieposłusznym. Małego Leosia wychowywała babcia, bowiem jego rodzice zmarli bardzo wcześnie. Babcia, nie mająca zbyt wiele zdrowia ni sił, nie bardzo mogła poradzić sobie z niesfornym chłopakiem.

Trochę rygoru w jego życie wprowadziła dopiero szkoła, ale także nie za wiele. Leoś znany był wszystkim nauczycielom, jako największy szkolny rozrabiaka i utrapieniec. Szkołę podstawową kończył w ciągu całych dziesięciu lat. Ukończył ją wreszcie dlatego przede wszystkim, że udręczeni do ostatka nauczyciele nie mieli już więcej cierpliwości, ni siły, znosić jego ciągłych wybryków. Na szkole podstawowej Leonek zakończył swoją edukację.

Chłopaczek, który dość wcześnie wpadł w tzw. złe towarzystwo, szybko doszedł do wniosku, że niekoniecznie potrzebne jest jakiekolwiek wykształcenie, ani też uczciwa praca, by zdobyć pieniądze.

Zaczął zarabiać, sprzedając na ulicy, wzorem wiejskich kumoszek, owoce, warzywa, jaja, drób. Tyle, że wszystko to kradzione. Sprawa wydała się, gdy jeden z podwarszawskich rolników rozpoznał w rękach chłopaka swojego dorodnego koguta. Oberwało się wtedy Leosiowi tego.

Później zaczął handlować na targowiskach kradzionymi królikami i gołębiami, ale pewnego razu, podczas kolejnego wypadu po cudzy inwentarz, jakiś wyjątkowo czujny i zły pies pokąsał go tak dotkliwie, że definitywnie zniechęcił do branży.

Z rolnictwa przeszedł do kultury. Zaczął „pracować" pod kinem. Najpierw jako drobny „konik", potem w charakterze „matki", a jeszcze później prowadził całą biletową „kolekturę".

Kiedy Leoś dorósł i stał się Leonem, jego wymagania życiowe wzrosły i to gwałtownie. Potrzebne mu były coraz większe pieniądze.

Wtedy znów się przebranżowił. Przeszedł do finansów, a ściślej — do waluty. Wkręcił się więc w cinkciarskie towarzystwo z okolic „Cafe-Bristol" w Warszawie. Szybko wywindował się w interesach. Po dwóch, trzech latach był już w „dewizówce" dużą fiszą, co przyszło mu tym łatwiej, że akurat zakończyli niechlubnie walucіarską karierę słynni bracia Latkowie, zlikwidowany też został gang „złotogłowych", dotąd utrzymujący monopol na warszawskim czarnym rynku dewizowym. Tak więc Leon G., wówczas już Złoty Lolo vel Loczek, zwany tak ze względu na bujną blondloczkowatą fryzurę, stał się jednym z wielkich bossów warszawskiej „dewizówki".

Niebawem jednak i to przestało mu wystarczać. Zaczął szukać jeszcze lepszego interesu. No i wkrótce znalazł! Zauważył, mianowicie, że aczkolwiek szacowny dolar amerykański spada gwałtownie na łeb na wszystkich giełdach, to jednak tutaj, w kraju, nadal trzyma się na dobrym kursie. Natomiast na wszystkich niemal rynkach, oprócz naszego, jednocześnie dość mocno podskoczył kurs rubla. Te zmiany relacji walutowych można było znakomicie wykorzystać.

Złoty Lolo szybko rozkręcił walutowo-przemytniczy interes. Namotał odpowiednie kontakty, skantował chętnych wspólników, zorganizował wielki, znakomicie funkcjonujący gang.

Jak wielkie zyski czerpał Leon G. z dewizowego biznesu? Wystarczy powiedzieć, że już po roku kupił za grube pieniądze w „Locum" pięknie umeblowany segment na Sadybie, oczywiście z garażem, a swojego starego fiata zamienił na wspaniałego, sportowego forda-cobrę, za dewizy! Jak długo musiałby pracować na to uczciwy człowiek?

Ale nic nie jest wieczne! Minął rok, drugi, interesy nagle zaczęły się psuć. Trzeba było zwijać ten biznes w największym pośpiechu. Leon G. bardzo się śpieszył. Za bardzo! Nie zdążył...

INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE zamieścił artykuł Nicolasa Gage o zalewaniu Europy Zachodniej narkotykami, zwłaszcza zaś groźną heroiną. Heroina jest w Europie Zachodniej znacznie tańsza niż w USA i powoduje też dużo więcej wypadków śmiertelnych u narkomanów. Walka z handlem heroiną jest niezwykle trudna.

W artykule czytamy:

Heroina z Iranu, Pakistanu i Afganistanu zalała Europę i zaczyna przedostawać się do Stanów Zjednoczonych, w których zmniejszyły się „dostawy" ponieważ policja odnosi sukcesy w hamowaniu dopływu narkotyków z Meksyku.

W USA, gdzie w białym proszku, sprzedawanym często na ulicach, jest tylko 3,5 proc. czystej heroiny — kilogram kosztuje 170 tys. dolarów. W Europie kilogram heroiny zawiera zwykle 20 proc. czystych narkotyków i sprzedawany jest w cenie 24 tys. za kilogram. Szef zachodnioniemieckiego wydziału policji, zajmującego się walką z narkotykami, Erich Rebscher, oświadczył niedawno, iż dostępna w RFN heroina zawiera tak wielkie ilości narkotyków, że „w roku 1979 zanotowaliśmy 595 wypadków śmiertelnych, spowodowanych przedawkowaniem tej trucizny. Jest to prawie dwa razy więcej niż w Ameryce, chociaż nasza ludność jest prawie czterokrotnie mniej liczna od amerykańskiej".

Kierownik amerykańskiego urzędu ds. walki z narkomanią Peter Bensinger podkreśla. „Cała Europa jest zalana heroiną z Bliskiego Wschodu i nasze służby przypuszczają, że możemy oczekiwać wielkiej ilości przecieków narkotyków z Europy do USA w roku bieżącym".

Szacuje się, że w Iranie, ogarniętym już procesem rewolucji islamskiej, Pakistanie, targanym niepokojami społecznymi i w Afganistanie zebrano w ubiegłym roku około 1.500 ton surowego opium. Jest to stokrotnie więcej niż w Meksyku. Opium jest przerabiane na heroinę w laboratoriach wszystkich tych krajów oraz w Turcji, potem zaś przewożone dawnymi szlakami Orient Expressu: poprzez Turcję, Bułgarię i Jugosławię do Europy Zachodniej.

Chociaż można przypuszczać, że w Turcji nielegalnie uprawia się opium, to jednak eksperci europejscy i amerykańscy zgodni są co do tego, że podstawowe masy heroiny płyną do Europy z Iranu, Afganistanu i Pakistanu. „Najbardziej wstrząsające jest to, że niepokoje polityczne niemal uniemożliwiają ograniczenie produkcji heroiny" — mówi John Warner, dyrektor amerykańskiego wydziału do walki z narkotykami, na Europę i Bliski Wschód.

W Jugosławii heroinowy szlak rozdwaja się: część heroiny wędruje do Europy Północnej, druga część „płynie" na południe, do Triestu i Mediolanu, które są centrami zaopatrzenia dla przemytników, operujących we Włoszech i południowej Francji. Nagłe pojawienie się taniej heroiny ożywiło działalność sieci handlarzy, która przez długi czas zaopatrywała rynek amerykański, i która niemal zamarła po podjętej w roku 1971 przez rząd turecki decyzji o wstrzymaniu uprawy maku dającego opium.

Większość kurierów rozprowadzających heroinę po Europie Zachodniej, to obywatele tureccy, pracujący w Europie Zachodniej. Frich Rebscher podkreśla, że ponad 70 proc. bliskowschodniej heroiny przywożą do Europy tureccy robotnicy. Niektórzy z nich cieszą się dużą ochroną we własnym kraju i mają powiązania z wysokimi osobistościami życia politycznego.

14 sierpnia 1978 r. policja zachodnioniemiecka skonfiskowała 3,6 kg heroiny od czterech Turków, którzy próbowali sprzedać biały proszek niemieckiemu agentowi w pobliżu miasta Arnsberg. Jeden z Turków, Halit Kharaman powiedział później przedstawicielom władz zachodnioniemieckich, że w latach 1973—78 był członkiem parlamentu tureckiego z ramienia ultrakonserwatywnej Partii Ocalenia Narodowego. Gdy przestał być deputowanym, a jednocześnie popadł w długi, przeprowadził rozmowę z Nekmettinem Erbakanem — byłym wicepremierem i przywódcą partii, której poparcie jest kluczowe dla utrzymania się premiera Demirela przy władzy. Erbakan poradził mu, aby „zarobił" pieniądze, przewożąc heroinę do Europy i wskazał człowieka, który mógłby heroinę dostarczać.

Nekmettin Erbakan zaprzeczył zeznaniom Kharamana, oświadczając, iż są one czystym wymysłem, jednakże zachodni specjaliści ds. walki z narkotykami mówią, że w latach 1974—1977, gdy Erbakan był szefem ministerstwa spraw wewnętrznych, władze tureckie były najmniej skłonne do współpracy przy zwalczaniu handlu narkotykami.

Mimo tego rodzaju sugestii, które wskazywałyby na skorumpowanie politycznych osobistości, urzędy amerykańskie podkreślają, że rząd turecki kontroluje uprawę maku opiumowego w sześciu prowincjach, w których uprawa ta została dozwolona i obecna nowa powódź heroiny w Europie, nie jest zawiniona przez Turcję.

Niektórzy eksperci europejscy zgłaszają wątpliwości twierdząc, że jeśli nawet cała heroina przywożona do Europy Zachodniej przez tureckich kurierów, pochodzi z tak odległych krajów jak Afganistan, to jednak nie powinna być sprzedawana w Stambule po niezwykle niskiej cenie 8 tys. dolarów za kilogram. Uważają oni poza tym, że w Turcji istnieją próby nielegalnej uprawy maku.

Pakistan zezwolił na kontrolowaną produkcję opium, ale podobnie jak w Afganistanie, regiony wiejskie w prowincjach północno-zachodnich są nadal tradycyjnym źródłem nielegalnie uprawianego opium, zaś rząd centralny nie jest w stanie kontrolować tych obszarów. Poza tym dostawcy narkotyków w Pakistanie bardzo rzadko skazywani są na kary więzienia. Nielegalna produkcja opium w Afganistanie i Pakistanie szacowana jest w roku 1979 na około 1.100 ton. W normalnych warunkach roczna produkcja Iranu wynosi około 300 ton opium, używanego przez samych mieszkańców. Około 180 tys. zarejestrowanych obywateli otrzymuje miesięcznie około 20 gramów opium w ramach programu rządowego.

Za rządów szacha Pahlaviego nielegalny handel był bardzo surowo karany w Iranie. Ludzie skazani otrzymywali często karę śmierci. W latach 1969—79 dokonano w Iranie 250 egzekucji na nielegalnych handlarzach narkotykami. W ciągu ostatnich 6 miesięcy, handlarze operują dość swobodnie.

Władze jugosłowiańskie nie żałują wysiłków, aby zahamować na swym terytorium tranzyt dla handlu narkotykami, i szczególnie w miejscowości Gradina, na granicy bułgarsko-jugosłowiańskiej wzmocniono straż celną. W ubiegłym roku skonfiskowano na tej granicy 54,5 kg heroiny i 20 kg morfiny.

Wzrost dostaw bliskowschodniej heroiny do Europy jest tak gwałtowny, że w ciągu ostatnich dwóch lat na rynkach europejskich pojawiło się jej 80 proc. więcej niż poprzednio. Heroina bliskowschodnia zastąpiła heroinę z tzw. złotego trójkąta Birmy, Tajlandii i Laosu. Ten handel był kontrolowany przez etnicznych Chińczyków, którzy z Amsterdamu uczynili swoje centrum dystrybucji.

Chociaż heroina z Azji Południowo-Wschodniej nie była wielką groźbą dla USA (ma ona właściwości niezbyt popularne w kołach amerykańskich użytkowników), to heroina z Bliskiego Wschodu może stać się bardzo groźna. Ma ona takie same właściwości jak heroina dostarczana przez całe dziesięciolecia na rynek amerykański w okresie, gdy pracował jeszcze wykryty później przez policję tzw. francuski łącznik.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

BARIERY CZY POTRZEBY?

Niedawno pisałem w tym miejscu o „uczestnictwie w kulturze" przeciętnego Polaka — o obrazie aktywności kulturalnej, jaki wyłania się z analiz Ośrodka Badania Opinii Publicznej. Dziś — niejako dalszy ciąg tych rozważań, na kanwie publikacji Teresy Koprowskiej pt. „Bariery uczestnictwa w życiu kulturalnym".

A zatem — co utrudnia, co przeszkadza, jakie są najistotniejsze przeszkody w korzystaniu z dóbr i urządzeń kulturalnych? Spróbujmy także odpowiedzieć na pytanie — jaki jest ów model uczestnictwa w kulturze, dla kogo jest dostępny, dla kogo nie — i dlaczego?

Z góry, rzecz prosta, można przewidzieć, że żadne badania i analizy nie są w stanie dać jednoznacznej odpowiedzi na postawione pytanie. Mogą natomiast określić charakterystykę tych, którzy nie uczestniczą w życiu kulturalnym.

Tak więc w statystycznej grupie poddanej badaniu — grupie będącej czymś w rodzaju „Polski w miniaturze" — aż 76 proc. zupełnie nie chodzi do teatru — i prawie tyle (74 proc.) nie bywa nigdy w muzeum, w galerii, na wystawie plastycznej...

Studiując analizę Teresy Koprowskiej zwróciłem uwagę na pewną sprawę. Otóż to, że odsetek osób nie korzystających z poszczególnych instytucji jest mniejszy w miejscowościach, w których dana instytucja kulturalna się znajduje, niż tam, gdzie jej nie ma — jest sprawą oczywistą. Natomiast zaskakujące okazało się to, że już niewielka odległość (10 km) danego ośrodka kulturalnego od miejsca zamieszkania powoduje bardzo poważne zmniejszenie frekwencji.

Dowcip tkwi wszakże w czym innym. Dziesięciokilometrowa odległość od teatru czy muzeum jest trudnością nie po pokonania — ale ta sama odległość dzieląca respondenta od... restauracji czy kawiarni ogranicza stopień korzystania z tego przybytku w bardzo niewielkim stopniu. Innymi słowy — „do teatru nie jeżdżą, bo za daleko" — natomiast do kawiarni nie jest za daleko, choć często mieści się na tej samej ulicy co teatr.

Zasygnalizowałem więc jedną barierę — odległość. Jak widać jest to bariera — czasem — dość względna. Podobnie jest z barierą następną — czyli z zależnością między poziomem dochodu a uczestnictwem w kulturze. Autorzy opracowania nazywają ową „barierę finansową" — ewidentną. Z pewnością jest ta zależność istotna i znacząca, ale... Nikt mi nie wmówi, że bariera finansowa ogranicza możliwość korzystania z biblioteki, która jest absolutnie za darmo, bądź z kina, które jest w Polsce bardzo tanie... A takie są wyniki badań. Oczywiście chodzi tu o coś zupełnie innego niż bariera finansowa. Po prostu występuje związek między dochodami a poziomem wykształcenia.

I znów — podobnie jak w wypadku „bariery odległości" — zła sytuacja materialna sprawia, że 85 proc. badanych nie korzysta z teatru, ale z restauracji nie korzysta tylko 49 proc. A przecież wieczór w teatrze — nawet jeśli wliczyć w tę imprezę taksówkę w obie strony — i tak jest tańszy niż wieczór w restauracji. Blisko 80 proc. badanych, którzy swoją sytuację materialną określają jako złą — nie korzysta z muzeów. A przecież wstęp do muzeum jest albo bezpłatny, albo zupełnie symboliczny. O jakiejkolwiek barierze finansowej mówić tu nie można. Przecież blisko 70 proc. badanych, którzy swoją sytuację finansową określają jako d o b r ą — też nie chodzi do muzeów i na wystawy.

Nie w pieniądzach zatem rzecz; nie o możliwości finansowe chodzi, lecz o możliwości, aspiracje i ambicje intelektualne.

Kolejną barierą są obowiązki domowe. Pomijając szczegółowe analizy i tabele rzuca się w oczy znamienna konkluzja: „Stopień obciążenia obowiązkami domowymi ogranicza możliwości korzystania z instytucji kulturalnych, ale — uwaga! — nie wpływa ograniczająco na uczestniczenie w życiu towarzyskim". Bez komentarzy.

Na koniec zadano respondentom pytanie czy mają poczucie, że brak im którejś z następujących rozrywek: kino, teatr, kawiarnia i spotkanie towarzyskie. Brak teatru odczuwało 47 proc. — brak kawiarni odczuwało 80 proc. Także bez komentarzy.

Konkluzja jest prosta. Aby korzystać z dóbr kultury, aby w kulturze uczestniczyć — trzeba przede wszystkim c h c i e ć. Autorzy opracowania zdają sobie z tego sprawę — przestrzegając, że może dojść do paradoksalnej sytuacji, iż mimo łatwego dostępu do dóbr kultury — będą istnieć duże obszary społeczne, które dobrodziejstw kultury nie znają i znać nie pragną. W państwie socjalistycznym taka sytuacja byłaby w istocie paradoksalna. Jeśli zatem nie nastąpi rozbudzenie zainteresowań i potrzeb kulturalnych — rychło dojść może do nasilenia się procesów dezintegracyjnych.

Jak zainteresowania i potrzeby intelektualne rozbudzić — to już inna sprawa. Nie leży ona w kompetencjach socjologii, lecz polityki kulturalnej.

WIDOK

ZAMIAST FELIETONU

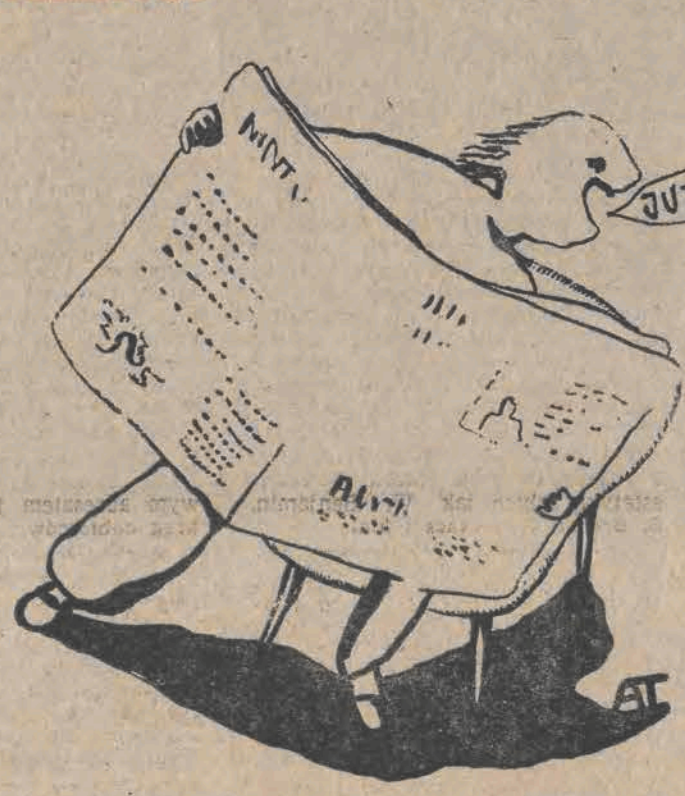

Rys. Andrzej Tylczyński

PROPOZYCJE

SEXOWNE GDAKANIE

W ostatniej „Polityce" na ostatniej stronie można przeczytać, w rubryce „Coś z życia", następujący tekst:

„Jak wynika ze wzmianek w gazetach pozawarszawskich, tygodnik „Argumenty" rozesłał do ich redakcji okazowe numery tego czasopisma, prosząc o zareklamowanie „Argumentów", gdyż zaczęły one drukować w odcinkach coś pikantnego pt. „Staroindyjska sztuka miłości — KAMASUTRA". I my, choć nie proszeni, reklamujemy z całego serca radzi, iż po wielu latach doświadczeń „Argumenty" wreszcie odkryły, iż miejsce poniżej pasa służy nie tylko do bicia."

Istotnie. I w moje ręce trafił numer „Argumentów" z kolejnym fragmentem „Kamasutry". Trafił przypadkowo. Nikt nie prosił mnie o reklamę i nie o reklamę mi chodzi. Wokół „Kamasutry" narosła legenda. Opowiadano sobie szeptem, jakie to wspaniałe dzieło, a jakie „świńskie". Czego to ci Hindusi nie wymyślili. Oni to się dopiero umieją kochać.

Nie wiem, jaki cel przyświecał „Argumentom", kiedy podjęły decyzję drukowania „Kamasutry" we fragmentach, ale jaki by on był, to potwierdza się tylko reguła, że najskuteczniej z wszelkimi legendami walczy się nie przy pomocy komentarzy i tłumaczenia, ale przy pomocy całej prawdy.

Pewnie, że „Kamasutra" jest lekturą atrakcyjną, ale też miejscami wywołuje zdziwienie, a czasem nawet śmiech czy uśmiech. „Kamasutra" pochodzi bowiem z zupełnie innego kręgu kultury, wyrosła na innej tradycji i jest... dokumentem dalekiej przeszłości. Zresztą, jak się uważnie poczyta różne stare księgi, to też znajdzie się tam różne „świństwa", wyrosłe co prawda na innej kulturze, w innych czasach, ale bardzo ludzkie. Greckim bogom też niewiele brakowało. Sam Zeus był nielichym podrywaczem. Seks, jak z tego wynika, jest stary jak świat, jak ludzie. Różny tylko jest do niego stosunek w różnych kulturach i okresach.

W 1976 roku pismo „Review" stwierdzało: „Mimo wspaniałych tradycji w dziedzinie cielesnych rozkoszy, miliony mieszkańców Indii to ignoranci w sprawach seksu. Dzisiejszy indyjski półanalfabeta uważa nawet mówienie o tych sprawach za rzecz nieprzyzwoitą." Proszę więc nie myśleć, że Hindusi, mając „Kamasutrę" są dziś lepiej przygotowani do uprawiania miłości niż inne ludy. Okazuje się, że związek między tym, iż „Kamasutra" pochodzi ze starożytnych Indii, a dzisiejszą rzeczywistością obyczajową Indii jest żaden. Myślę, że i na kulturę życia seksualnego w Polsce fakt opublikowania fragmentów „Kamasutry" przez „Argumenty" też będzie niewielki. Ale dobrze, że można przekonać się, co to jest ta osławiona „Kamasutra".

W moje ręce trafił rozdział pt. „Pocałunki". Lektura treści tego rozdziału, gdzie mówi się też o zadrapaniach, ukąszeniach, a także o uderzeniach, przekonuje, jak daleko od naszej kultury powstało to dzieło. Pokazuje też, jak bardzo rozwinięta była w starożytnych Indiach sztuka miłości. Z pozoru, jak by nie było tu nic nowego, wiadomo przecież, że w szale miłosnym kąsa się, drapie i wydaje różne okrzyki. Ale „Kamasutra" wszystko systematyzuje. Dla współczesnego czytelnika ze środkowej Europy, który niejedno już czytał, obejrzał setki produkowanych na Zachodzie i w północnej Europie historyjek obrazkowych, fotografowanych w kolorze z pseudofabułką, albo i bez niej, ta cała systematyka „Kamasutry" wydaje się przynajmniej dziwna, jeśli nie śmieszna. Czytam tam oto, co następuje:

„Z namiętności uderza się takie części ciała jak: barki, głowa, miejsce między piersiami, plecy, Jadganę, biodra boki. Uderza się wierzchem dłoni, złączonymi palcami lub pięścią. Kiedy kobieta otrzyma cios, wydaje różne syczenia i osiem rodzajów okrzyków: Phra! Phat! Sut! i Plat! okrzyk grzmiący, gruchanie i szloch...

Można dodać do tego różne odgłosy naśladujące brzęczenie pszczół, gruchanie gołębia, kukanie kukułki, krzyk papugi, kwakanie kaczki, wołanie przepiórki, gdakanie pawia."

Nie, to nie na moje nerwy. Gdy sobie wyobrażę, że po pieszczotliwym plaśnięciu kobiety między piersi, ta nagle zagdacze jak kaczka, a później zakuka jak kukułka lub zagdacze jak paw, to przerażenie mnie ogarnia i odechciewa mi się naśladowania tych wszystkich starohinduskich sztuczek. Zresztą Słowianie też coś niecoś w tej dziedzinie wymyślili i jak się dobrze temu przyjrzeć, to nie są to takie najgorsze sposoby.

Ale wracając do spraw poważniejszych. Z okazji publikacji „Kamasutry" przez „Argumenty" przypomina mi się powodzenie książki Michaliny Wisłockiej „Sztuka kochania". Przypomnienie to dedykuję wydawcom. Miłości trzeba się bowiem uczyć. Chętni są, tylko czasem nie mają z czego się uczyć. A praktykę warto podbudować teorią.

MARCIN RODAK

1/3 mini magazynek

NOWOŚĆ

Nowości dzielą się na prawdziwe, fałszywe oraz te, na które czeka się latami. Ja czekam co najmniej od dwóch lat na zapowiadaną nowość Zakładów im. Marcina Kasprzaka w Warszawie, na osławiony już „Notes", magnetofon kieszonkowy.

Ostatnio „Głos Robotniczy" doniósł radośnie, że na rynku „pojawi się prawdziwa ciekawostka: magnetofon kieszonkowy, z wbudowanym mikrofonem...". Otóż pragnę donieść radosnemu informatorowi z „GR", że nie jest to żadna ciekawostka. Świat zna już takie magnetofony od bardzo dawna. Nawet czasem w filmie pokazują, jak się nimi posługują zagraniczni dziennikarze. W związku z tym mam pytanie: k i e d y się wreszcie ta „ciekawostka" pokaże na rynku? Jeśli ktoś wie, to proszę łaskawie „1/3" poinformować. Nasza redakcja mieści się tam, gdzie mieści się redakcja „Odgłosów". Czekamy.

Zyg.

POPIERAMY

M. Miszalski w „Głosie Robotniczym" krzywi się, że wybudowano kładkę dla pieszych przy

RÓŻNE TAKIE

WFF na alei A. Mickiewicza, a nie ma takiej kładki przed „Uniwersalem", na placu Niepodległości. I niewątpliwie ma rację, bo tam kładka dla pieszych jest bardzo potrzebna. Popieramy więc propozycję M. Miszalskiego z „GR", aby i tam wybudować kładkę.

Skromnie jednak przypominamy, że nim zapadną różne decyzje warto je czasem tu i ówdzie przekonsultować. Urząd zawsze ma rację i wszystko wie lepiej, ale ludzi, którzy chodzą po ulicach też mamy mądrych.

N.N.

FAŁSZUJĄCA ZEGARYNKA

Z Warszawy nadchodzą wiadomości, że tamtejsza zegarynka co jakiś czas podaje fałszywy czas. Niektórzy zastanawiają się, co to ma znaczyć. A to tylko niedbały konserwator zapomniał spełnić swój obowiązek i warszawska zegarynka w ten sposób domaga się remontu.

Z.E.Garmistrz

NIE UFO

20 lutego 1980 roku pojawiła się nad Warszawą świecąca kula. Zaalarmowany reporter „Expressu Wieczornego udał się w rejon Targówka i Rembertowa, gdzie wedle relacji czytelników „coś" miało wisieć od godziny. Ale nic już nie było.

Warszawscy astronomowie, zapytani o zdanie, orzekli, że „to nie żadne UFO, tylko pięknie widoczna wczorajszego wieczoru Wenus". I znów się nie udało.

K.O.Smita

Rys. Edmund Bogdański

Rys. Walerian Domański

Co myśli sfinks (o nas)

Egipskich piramid i sfinksa nie zmogły wichry i burze; odkopano sfinksa z piasku, przewalały się nad nim wojny, a on stał i uśmiechał się. Ludzie splądrowali piramidy, a sfinks „myślał swoje", „swoje wiedział". Był niewzruszony.

Aż przyszła nasza cywilizacja. Cywilizacja benzyny i smrodu i dała mu radę. Sfinksowi pękła już łapa, a uczeni obawiają się, że może odpaść głowa.

Nasza cywilizacja — jak z tego widać — dobra jest na wszystko. Wszystkiemu da radę, wszystko zmoże. Pozostawi po sobie piasek i żelazne konstrukcje drapaczy chmur. Tylko, że w piasku nic nie będzie zagrzebane. Niestety. Co najwyżej plastykowe kanistry po benzynie. Ale może i to nawet nie zostanie. Smród i spaliny zeżrą wszystko.

S. FINKS

UMIERALNOŚĆ NA GŁOWĘ

„W KATOWICKIEM — BEZPIECZNIEJ" — donosi „Przegląd Techniczny", informując przy tym, że choć liczba pojazdów w tym województwie wzrosła o 9 proc. to liczba wypadków zmniejszyła się o 1 procent, a liczba osób, które odniosły rany w tych wypadkach zmniejszyła się o 3,1 procent. Więcej natomiast ludzi w wypadkach drogowych straciło życie, choć procentowo nie przedstawia się to najgorzej, bowiem wzrost ilości samochodów daje zupełnie dobry wskaźnik zabitych.

Ludzie, do czego to już doszło. Wskaźniki zaczynają przesłaniać nam życie.

ZYG.

PRZECZYTALNOŚĆ OGŁOSZEŃ

Łódzkie Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych poinformowało w „Głosie Robotniczym", w płatnym ogłoszeniu, że:

„zostaje wstrzymana przejezdność ulicy Wieniawskiego przy torach PKP"

oraz przeprosiło za:

„utrudnienia w ruchu spowodowane czasowym zamknięciem przejezdności".

Wzruszeni jesteśmy zwiększeniem przepustowości kurtuazji w ŁPRI, boimy się jednak, że przy stosowaniu tak skomplikowanej stylistyki, która zwiększa przerobowość paragrafów księgowalniczych, ŁPRI nie wyrobi i w ciągu kwartału wyda to, co ma na ogłoszenia na cały rok. I co wtedy będzie z przepustowością informowania? (K)

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11 kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680 99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graf. RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 431. G-9.